



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kanterach pisma peryodycznych, po cenie:
rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartal. rsr. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynewicza i Schmidta
kwartal. rsr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową rsr. 3 cent. 60
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. rsr. 2 cent 75; na prowincyi
z przesyłką pocztową rsr. 3 cent. 80.
W. W. Ka. Posańskim: u M. Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1.
sgr. 30.

KOBIETA JAKO TOWARZYSZKA MĘŻCZYZNY.

(Dalszy ciąg).

Autor amerykański widzi wyraźnie różnicę w życiu i w zadaniu kobiety i mężczyzny, gdy zowiąc istotą kobiecą dopełnieniem istoty męskiej, w związku dwojga jedność znajduje. Oddzielnie wzięci przedstawiają zatem jakości odmienne i myśl ta widnieje u niego jasno, tak w całym obrazowaniu stosunku małżeńskiego, jak w przedstawieniu korzyści wzajemnego oddziaływania męskiego i kobiecego ducha w innych położeniach życia. Każde z nich przynosi rodzinie i społeczeństwu zdolności i przymioty inne, na czym właśnie potrzeba owych wpływów gruntować się musi, bo inaczej nie istniałaby weale, i nacisk też jaki autor na te dopełniania się wzajemne kładzie, już przez konieczną, myśli konsekwencją do zaznaczenia i uznania różnic tych prowadzi. Czy więc autor nie jest w sprzeczności z sobą, gdy biorąc wyraz „towarzystwo” w zbyt ścisłym i materalnym znaczeniu, żąda dla kobiety wspólnej z mężczyzną nauki? Nauka wspólna, znaczy koniecznie naukę jednakową; nietylko tę samą w treści, ale taką samą w formie, więc wykształcenie w kierunku jednym, przyjmowane na warunkach jednakowych, choć sam przyznaje różnicę w kierunku zdolności, w przymiotach i uosobieniach. Jeżeli tak jest — a żaden najradykałniejszy myśliciel nie dowodzi przeciwnie — jeżeli kobieta nietylko inaczej jak mężczyzna obdarowana się znajduje, ale i w zadaniach życiowych, co jest już prostą rzeczą logiką, inne ma przeznaczenie, czyż i kształcenie jej umysłu innem być nie powinno? Nie znaczy to, aby miało być niższem, bo inszość bynajmniej niższością być nie potrzebuje, ale trzeba przypuścić, że kobieta mająca inaczej z nauki swej korzystać, mająca inną rolę w życiu odegrać i wykształcenia innego wyma-

ga. „W czym może być złym i bezsensownym nasz systemat wspólnej edukacji?” pyta Amerykanin i odpowiada zaraz bezwzględnie systematu owego złąd pochwałą, że szkoła jest już pierwszym polem poznania się gruntownego kobiety i mężczyzny, jest pierwszym wpływem wzajemnego na siebie działania, urabiania się wczesnego do wspólnej następnie drogi przez życie. Czy przecież wszystko to w szkole tylko osiągnąć można, czy po za szkołą życie dla dziecka nie istnieje, a rodzina i stosunki towarzyskie nie nastarczają środków potrzebnych po temu, czego autor z wielu względów słusznie żąda? Wychowanie, urabianie do życia nie na samej nauce się opiera, gdy z drugiej strony ta nauka, kształcenie umysłu, intelektualny młodej istoty rozwój, jest rzeczą dość ważną, aby sama sobie celem będąc, za środek do celów innych używaną nie była. Kto tylko prawdziwą ważność nauki uznaje, już się na to zgodzić musi, już przy kreśleniu planu edukacyjnego to za najpierwszy i najważniejszy wzgląd stawiać sobie powinien: czy nauczanie odbywa się w sposób najlepszy dla najdoskonalszego rozwoju tej osobistości, która się uczy? Na uzupełnienie wychowania pod względem innym, trzeba to wychowanie środkami innych działań podierać, a cel osiągnięty zostanie. Nauczyciele mieszanych szkół amerykańskich wykazują w sprawozdaniach swoich, że dziewczęta nie uczą się w nich gorzej od chłopców, a porządek i karność szkolna bynajmniej na wspólnej nauce nie cierpi. Ale szkoła musi być światem, któryby sam dla siebie istniał, bo świat właśnie otwiera się dopiero po za szkołą, której przeznaczeniem jest nie dobrych uczniów wytwarzać, ale najdoskonalszych o ile można ludzi społeczeństwu przygotowywać. Otóż nauka wspólna dlatego jest w moich oczach złą, że dwie niejednakowe osobistości jednakowym sposobem kształci, więc musi coś zwichać, a czegoś nie rozwijać, zatem w nienaturalnym kierunku urabiać. Że kobietę w postaci dziewczynki młodej wprowadzono do szkoły, która na kształcenie mężczyzny obrachowana była, ona tedy na tym mieszanym systemacie cierpi, ona w sobie przez naukę niewłaściwym sposobem pobieraną, równowagę duchową narusza i roz-

wija się nieodpowiednio dla przyszłych powołań swego przeznaczeń. Że się sposobem dobrze wydawanych lekcji uczy dobrze, to jeszcze żadnym dowodem nie jest, czy wychodzi ze szkoły dobrze wyuczona, bo czyż mało było na świecie w różnych czasach i u różnych narodów wadliwych systematów edukacyjnych, które przecież dawały po szkołach odpowiedni procent uczniów dobrych, choć potem byli z nich ludzie mizerni, którzy lichą tworzyli społeczność. Umysł ludzki zdolny jest do takiej samej jak ciało gimnastyki, można i skoków na linie nauczyć, choć nikt nie powie, aby to było zdrowem i do dobrego rozwoju sił ludzkich prowadzącem ćwiczeniem. Tak być może i z kobietami amerykańskimi, które ze szkół mieszanych wychodzą i odpowiedzi na zapytanie autora szukać należy głównie w społecznym rozwoju Ameryki, gdzie kobieta, po mężku wychowana, spełnia w rodzinie i towarzystwie kobiece swe powołanie.

Doświadczenie jest jeszcze za świeże, aby życie doskonałą wydało odpowiedź, przytem stosowanie jego nie jest i w Ameryce ogólnem. Kwestya ta przecież do dziś dnia amerykańska niby, zaczyna się stawać zwolna kwestyą i dla Europy żywotną, gdyż istnieje w Anglii, we Francyi i w Niemczech pewien zastęp krańcowy, który zaczyna wołać dla kobiety o szkołę wspólną. Są umysły namiętne, są duchy gwałtowne, które nie pojmują żadnego ruchu bez walki, które w każdym ścieraniu się pojęć widzą opór wsteczników i radeby biec naprzód, a raczej pchać tam tłumy, nie bacząc czy na drodze nie leży: „przepaść, kamień lub serce bliźniego.” Zuchwale ambitni, lub zimni operatorowie doświadczeń na istotach żywych, a często umysły lekkomyślne, które nauka studyi historycznych nie objaśniła dostatecznie, jak się pochód ludzkości odbywa, kwestyą postępu kobiety przetwarzają usilnie na pole boju i polemiki gwałtownej, a w rozdrażnieniu walki tracąc z oczu wszystkie inne strony przedmiotu, chcą, aby równouprawnienie kobiety, było koniecznie jednakowością jej przeznaczeń z przeznaczeniami mężczyzny, chcą dla niej nie tego samego ale takiego samego konieczne co on posiada. Dla takich umysłów wspólna ko-

biety z mężczyzną nauka stawia się przedewszystkiem jako pozyskanie prawa nowego, o które upominają się dlatego jedynie. Nie jest tak przecież, i wspólna szkoła powstała właśnie z niedostatecznego uwzględnienia praw kobiety w społeczeństwie.

Spółeczeństwo to pominęło kobietę w planie wyższej edukacji swych członków, nie wyznaczyło z funduszy publicznych potrzebnego na to grosza, i oto ci, którzy widzieli w świetle najwyższą każdej istoty ludzkiej potrzebę, umieścili kobietę, jako dodatek w szkole dla mężczyzny wzniesionej. W Ameryce miało to miejsce najpierw w osadach nowych, rozrzuconych wśród pustyni, gdzie przy ruchu głównie przemysłowo handlowym, liczba uczniów płci obojga była niedostateczna dla dobrego dwóch szkół utrzymania. Wiele ze względów czysto ekonomicznych połączone razem potomstwo osadników, którzy z całego świata zbiegając się za pojętą materialnego zysku, na ten zysk wyteżali całą uwagę swoją, pozwalając obojga aby wszystkie rzeczy inne szły choćby za biegiem przypadku. Wspólna szkoła wyrosła zatem z braku środków odpowiednich, a razem ze starcia dwóch żywiołów różnych. Pierwsza ludność Stanów Zjednoczonych powstała z rozrodzenia się tych purytanów nieugiętych, *pielgrzymów* jak się historycznie zowią, którzy uchodząc z Anglii, aby unieść nienaruszoną przekonani swoich, głównie religijnych, na każdym zrebie budującego się miasta wznosili najpierw kościół i szkołę, która była dopełnieniem kościoła. Wiele tradycja szkoły, nauki dla każdej istoty ludzkiej, wiązała się z tą pierwotną ideą wznoszącego się państwa, która stanowiła klej jego moralny, dostarczający po dziś dzień spójni swojej ogromnemu ludzi zbiorowisku. Ale zbiorowisko to nie powstało z gruntu, który zajmuje, przypływa ono nieustannie z falą oceanu, a tłum ten wieloraki, zbiegły z różnych porzuconych ojczyzn, musi przynosić z sobą koniecznie zapas grubego realizmu, który spotyka się z surowym idealizmem pierwotnego Amerykanów ducha, a z przeróbki ciągłej tych dwóch pierwiastków powstaje społeczeństwo szczególne, partę z jednej strony duchem wyższym, z drugiej ciężko materialne, szalenie zysku i pospiesznego używania łaknące. Ameryka przedstawia ciągły zlew fal różnorodnych, oderwanych od źródła swego, zatem z natury rzeczy najbardziej rzutkich, coś jak skipiała pianę musującego życia Europy, więc na nowem swem siedlisku społeczeństwo to wre jeszcze i pryska, mając przytem dość nieścieśnionego obszaru, aby nie rozsadzając brzegów rozlewać się szeroko. Ta działalność odśrodkowa bywa czasem dzielnością odważną, ale bywa też często zuchwałstwem lekkomyślnem, które każdej nowości niewypробowanej chętnie pole daje, bo życie ma tu najmniej karb prawdziwości uznanej, form stałych, które duch postępu rozszerza i pogłębia jedynie, jak nurt rzeki, koryto swoje złoścące. Społeczeństwo europejskie ma pod całym prądem swoim grunt tradycji, z którego wytryska: *dziś szanuje i kocha wczoraj swoje*, waży je jako dzieło prac, namysłów i usiłowań ojcowskich, które to prace, namysły i usiłowania cywilizacya stara, więc masy przesiąkająca, rozumie i ocenić jest zdolna. Ta cywilizacya odwieczna, ta przeszłość, której nie ma Świat Nowy, daje nam ogromną różnicę uczuć, pojęć, skłonności—różnicę w ogóle wymogów duchowych, których Ameryka nie zna, delikatności których nie pojmuje, a których nam się pozbywać nie należy, bo są szlachetną cechą wyrobienia duchowego, gdy w Ameryce surowe żywioły kłócą i przetrwają się dopiero w sobie, na podobieństwo pewne naszych wieków średnich. Dlatego też nie każdą nowość amerykańską za postęp uważać nam trzeba, tak z tego względu że warunki naszego życia są inne, jak z przyczyny niemniej ważnej, że życie amerykańskiego społeczeństwa jest jeszcze w stanie fermentu pierwszego. Ważna to uwaga dla tych, którzy każdy krok amerykańskiego pochodzu w kwestyi kobiecej, za postęp uznają i z tryumfem dobrej wiary zapisują go na chorągwi swojej. Nie godzi się odrzucać zdobywczy, które na tej innej półkuli świata duch ludzki sobie czyni, ale chceć wszystko przeszczerpić natychmiast na grunt społeczeństwa naszego, jest niebezpiecznie zuchwałą rzeczą.

Tak też stawia się między innemi kwestya wspólnej szkoły dla kobiety i mężczyzny. Zwolennicy amerykańskiej metody wołają, że kiedy brat i siostra mogą się chować razem w rodzinie, mogą razem siedzieć na jednej ławie szkolnej; ale nie chodzi tu

bynajmniej o rozdział płci, ale o podział nauki dla warunków potrzeb różnych. Względ przyszły zarobkowej pracy kobiecej, także tu zaciężyć nie powinien, bo i ta praca musi być dla warunków różnic przyrodzonych tak podzieloną, jak naprzykład w produkcji świata dzielą się narody. Francya choduje wino i ma najskłanniejse wyroby jedwabne, Anglia przerabia swoje żelazo, i tka bawełnę, a to społeczeństwo jedynie prawo wyższości sobie zaskarbi, które duchem wyżej stanie, moralnością szlachetnych uczuć wygórjuje. Takie samo jest prawo jednostek, takie samo prawo osobistości: duch stanowi o wyższości, duch sobie miejsce wśród tłumu wyrabia. Kobieta nie zacierając się z mężczyzną, może i powinna mieć ekonomiczną wolność pracy, może i powinna mieć moralną wolność nauki, sobie odpowiedniej, i jak zwięźle skreśliła rzecz Żmiechowska, powinna ubiedz w postępie na taką samą odległość drogi, która przecież byłaby jej własną drogą.

Zatem społeczeństwo winno jest kobiecie naukę idącą tak wysoko, jak tylko umysł jej sięgać może, i ma prawo posiadać w tem celu szkołę własną, którą odpowiadając najlepiej jej naturze kobiecej, ze względem na nią obmyśloną została.

Nauczanie elementarne dlatego tylko razem odbywać się może, że tam nauka sprowadzona do danych najniższych, jest raczej pierwszym zdobywaniem mechanizmu naukowego, jest pierwszym krokiem, który do drzwi przybytku wiedzy prowadzi. Już i tam dziewczynka inaczej nieco jak chłopiec te pierwsze elementa światła przyjmuje, inaczej sobie radzi z trudnościami jakie zdobycie go przedstawia, że przecież wyniki tych pierwocin oświaty stanowią pojęcia proste, które ostatecznie każdy umysł jednako postawić sobie powinien, rozdział jest niepotrzebny, a nawet podług zdania doświadczonych pedagogów, połączenie jest pożądane, bo łagodność i posłuszeństwo dziewczynek hamuje większą ruchliwość i kłębność chłopców. W tym kierunku nauczania Ameryka uczyniła krok bardzo ważnego postępu, który też Europa całą jednomyślnie uznaniem przyjęła; powierzyła kobiecie niemal wyłącznie nauczanie dziecka na zasadzie owych różnic, które kobieta w przymiotach ducha swego okazuje. Uczuciowsza, tkliwsza, delikatniejsza natura kobiety sposobniejszą ją czyni od mężczyzny do nauczania dziecka, które tym sposobem zostaje do właściwego czasu jak gdyby pod opieką wpływu macierzyńskiego. Przejdzie od domu do szkoły nie jest wtedy nagłem, nie uderza też zbyt surowo na zawiązujący się pak uczuć, na kiełkowanie umysłu młodzieńczego, i tak intelektualny, jak moralny rozwój dziecka odbywa się prawidłowo. Anglia jest właśnie w trakcie rozmyślenia, czy jej nie należy przyjąć w tym punkcie przykładu Ameryki? i od czasu reformy w elementarnym wychowaniu narodowym, od czasu gdy kobieta przypuszczona przez wybory gminne do zarządu w wydziale wychowania, spotkała się z mężczyzną na tem polu pracy obywatelskiej, i wykazała dowodnie zdolności i dobre chęci swoje w tym kierunku, sprawa powierzenia jej ręką nauczania elementarnego została niejako wywieszona na wokandę narodową.

(Dokończenie nastąpi).

BRYLANTY.

Gdy na brylanty lodów padnie promień słońca,
Widmo światła na tysiąc ognisk się rozdzieli,
I zda się patrzącemu, że z iskiei tysiąca
Płomień wystrzeli!

Ale nie—blask ten jest tylko odbiciem zimnem
Ognia, który się przejrzał w gwiazdnicach kryształu;
Tak często pieśń śpiewaka jest wyniosłym hymnem
Bez natchnienia i zapалу.

Myśl, w formie artystycznej brylantu ujeta,
Zimnego światła blaski lśnąciami migota;
Poezya jest uczuciem, a iskra jej święta,
To miłość albo tęsknota!

M. Ilnicka.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁECZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

IV.

Brat i siostra.

Kłopoty tedy Stojana zakończyły się w sposób niespodziany a jaknajpomyślniejszy. Cóż, gdyby był posłuchał rady urzędnika kolejowego w Baziasz! albo, gdyby się był zawczasu na pokładzie parowca nie osiedlił! Byłby się rozminąć musiał. Tak się atoli wszystko dobrze złożyło, że same nawet przykrości na dobre się obróciły, przez to już, iż droższą uczyniły chwilę spotkania. Brat i siostra nie mogli się sobą dosyć nacieszyć. Siedząc na pokładzie, na ławce, w cieniu żagla, rozciągniętego naksztalt namiotu, przypatrywali się sobie a zapytaniom, jakie jedno drugiemu zadawało, końca nie było.

Doktorowa rozpytywała się o ojca i matkę: czy zdrowi, czy się bardzo zmienili.

— Ach! jak mi do nich śpieszno...

— Nie byłoby ci tęskno za nimi przez lat dziesięć?...

Kobieta westchnęła i odparła:

— Z początku bardzo... bardzo... Ale m się z tęsknotą moją oswoiła, a raczej, na oddawanie się jej czasu nie miałam, dopiero w końcu, po zaszubieniu Manuśki... o! liczyłam dni, godziny...

— Cóż to! czyż ci z Manuśką źle?...

Doktorowa poruszyła się na zapytanie, które było fałszywym wnioskiem ze słów jej wyciągniętych.

— Ależ ja czegoś podobnego powiedzieć ani pomysleć bym nie śmiała!... — odparła. Zatemśniąłam do rodziców nie dla tego, ażeby mi źle być miało, ale, przeciwnie, dla tego, że mi było bardzo dobrze, że miałam dużo czasu, że mi do zadowolenia zupełnego zabrakło tylko naszych starych...

I rozpytywać poczęła dalej o braci i o siostry, o krewnych bliźszych i dalszych, o przyjaciół, oznajmujących. Doktor przechodził niekiedy i do rozmowy się mieszał, częściej jednak zostawiał brata i siostrę sam na sam.

Z rozmowy tej moglibyśmy uczynić rusztowanie, które by posłużyło nam za tło do opowiadania zdarzeń następnych. Nie będziemy jej jednak przytaczali w całości, znalazło by się w niej bowiem szczegółów nie mało dla czytelnika obojętnych. Przytoczymy ją jeno w tym ustępie, z którego wymiarkujemy powód dziesięcioletniego Maricy za granicą pobytu.

— Nie wytrzymałbym tak długo... — mówił Stojan. Lat dziesięć, całych lat dziesięć!.. mój Boże..

— Ty nie pamiętasz chyba momentu owego, w którym ojciec ze Stambułu powrócił i, rozebrawszy się z odzieży podróźnej, krzyknął do nas: uczyc się!..

— Pamiętam...

— Było w okrzyku tym coś takiego, co mnie nawskroś przejęło, jakbym usłyszała głos nie ojca a Boga samego...

— Pamiętam... Dziwno nam było, że ojciec po roku blisko niebytności, nie miał do powiedzenia nic pilniejszego...

— Otóż to jest... Słowo to, niby nakaz święty, w duszę mi zapadło i pozostało w niej... I ojciec też od tej chwili nie mówił o niczem innem tylko o nauce, na którą, powiadała, odda wszystkie *pariczki* moje... Ja, od tej chwili, nie myślałam o niczem innem...

— Pamiętam... — podchwycił Stojan — Przyniosł ojciec ze Stambułu pisma, dla Aleksandra do Odessy, dla mnie do Bukaresztu i dla ciebie do Mannheim... Najwięcej kłopotu było z tobą... Matka się tak opierała wysłaniu ciebie za granicę...

— Matka się opierała, ludzie odradzali i ojciec byłby już ustąpił matce i ludziom gdyby nie ja... Dla tego to, kiedym przemogła trudności wszelkie, nie mogłam się poddawać tęsknocie, jaka mnie zra-

zu opanowała, kiedyś się znalazła sama wśród ludzi obcych. Oddałam się nauce, która mi z początku szła trudno, bo nie umiała nic, pracowałam i w pracy czas szybko mi uchodził.

— A toż!.. przerwał Stojan—jeżeliś się ty przez lat dziesięć uczyła wciąż, toś się nauczyć musiała dużo. Doktorowa się uśmiechnęła.

— Bo ja uczyłam się nie dłużej jak lat trzy... i... i nie powiem, żebym umiała mało. Nie masz książki na której bym czytać nie potrafił. Cóż by było, gdybym się uczył przez lat dziesięć! Ale—tu zrobił minę taką, jakby coś sobie przypominał—co się stało z tą Niemką, z którą z Ruszczuka pojechałaś?

— Odwiozła mnie do Mannheimu umieściła w zakładzie edukacyjnym i nie widziałam jej więcej.

Ona ma sklep w Konstantynopolu, musiała więc powrócić, bo wyjeżdżała w interesach własnych.

— Pytam o nią, zdawało mi się bowiem, że jak z nią odjechałaś, tak z nią przyjedziesz i, szukając w Baziasz ciebie, oglądałam się za nią.

— Nie...—odrzekła doktorowa. Ją znajomi ojca konstantynopolscy wyszukali umyślnie na to, ażeby było komu powierzyć mnie w przejeździe z Ruszczuka do Mannheim. Gdyby nie ona, jechać bym nie mogła.

Nadarzył ją traf szczęśliwy, w skutek którego wysłaną zostałam nie gdzie indziej, tylko do Mannheim. I dobrze się stało.

— *Boga-mi*, dobrze — potwierdził Stojan—tego jednak zrozumieć nie mogę, co ty przez lat dziesięć robiła.

— Jakto, co!.. Powiadam ci, uczyłam się.

— Hm... pokręcił Stojan głową.

— Uczyłam się i gdybym jeszcze drugich i trzecich i czwartych i piątych lat dziesiątek pozostała, to bym się uczyć czego miała.

— Tego to już nie rozumiem. No, ale mniejsza o to. Dziwi mnie jednak, jak ty, sama jedna, pomiędzy Niemcami wytrzymać mogła.

— Nie byłam ja sama jedna... Miałam towarzyszek, Słowianki z krajów różnych, a przytem w pierwszym zaraz roku pobytu w Mannheim, zgłosił się Manuła-ki, który przyjeżdżał trzy razy na tydzień i wykładał mi język bułgarski i historię naszą, literaturę i historię narodów słowiańskich. Poznałam się więc z nim i z innymi jeszcze i na obczyźnie nie czułam się osamotnioną.

— Język... historię... literaturę... — powtórzył Stojan machinalnie.

— Wykładał mi je Manuła-ki i nauczył pracować w tej myśli, ażeby pracę moją obrócić na korzyść Bułgarii. Toż pracowałam z gorliwością podwójną.

— Długo Bułgarii?—zapytał Stojan z zadziwieniem niejakim.

— Czyż ja nie Bułgarka!

— Aleś niewiasta.

— Odpowiem ci na to słowami Manuła-kiego.

Gdyby się naród składał z mężczyzn samych, to mężczyźni sami musieliby dla narodu pracować; że się jednak składa z mężczyzn i niewiast, to słusznym jest i koniecznym, ażeby niewiasty mężczyznom pomagały.

— Hm...—kiwnął Stojan głową.

— Zresztą i ci, co ojcu w Konstantynopolu radzili, ażeby uczyć kazał i synów i córki, czynili to nie w innej myśli, tylko w tej, że się niewiasty przydać na coś mogą.

— Zapewne...—rzekł Stojan tonem półprzekonania. Gdybyś ty jednak wiedziała, jakto nieraz matka na oddalenie twoje narzekala!

— Toć teraz już nie oddalę się od niej więcej.

— Nie oddalisz się?...—zapytał brat z niedowierzaniem.

— Pozostanę przy niej na zawsze...—odparła doktorowa udobitniacząc odpowiedź poprzednią.

— A Manuła-ki?

— I on zostanie. On się przyda wielce, jako lekarz. U nas ponoć, od czasu jak Zarnica Zarnica, lekarza jeszcze nie było.

Słowa te nie wywarły, jak się zdaje, na Stojana wpływu przekonującego i może byłby odpowiedział, że kiedy się Zarnica bez lekarza obchodziła dotychczas, to obchodzić się może i nadal, gdyby rozmowy pomiędzy bratem a siostrą nie przerwał dzwonek dający sygnał posiłku wieczornego. Sygnał ten zwrócił na siebie uwagę Stojana.

— Dzwonią...—rzekł. Co to znaczy?

— Wzywają nas na podwieczorek... odpowiedziała doktorowa

— Iż więc.

— Chodźmy razem.

— Ja mam swoje jadlo: ser, oliwki, chleb. Wziąłem tego zapas duży, dla siebie i dla was... myśląc, że i Niemka z wami przyjedzie. Wziąłem i połowę pudełko całe.

— To się nam przyda na później, na tę część podróży, którą będziemy na kółkach odbywali...—rzekła doktorowa z uśmiechem, poznając w tem oszczędność bułgarską.

— Musimy jednak płacić za to co nam do jedzenia dadzą.

— Jużemy zapłacili.

— Z góry?

— Kupując bilety.

— Hm, Niemcy rozum mają, kiedy sobie z góry płacić każą. Hm. A więc kiedy tak, chodźmy.

Wyraz ostatni wymówił z tym pryncypem rezolutnym, co to oznacza powzięcie postanowienia jakiegos. Postanowienie jakie Stojan powziął odnosiło się do jadła i znaczyło:

— Każą Niemcy sobie z góry płacić: pokażę ja im!

Z myślą tą wszedł do salonu, zasiadł obok siostry przy stole i dał na talerzach koncert, którego by się nie powstydzili nie lada żarłok. Stojan wszakże żarłokiem z natury nie był. Jadł jednak za trzech, a to dla tego tylko ażeby odejść za *pariczki* swoje.

Dyplomata i pasza nie znajdowali się przy wieczornym posiłku. Snadź wystawiać się nie chcieli na pociski Anglika, który też w mileczeniu spożył, co do spożywania było i po podwieczorku wyszedł na pokład wraz z doktorem, doktorową i Stojanem. Doktorowa przedstawiła mu brata; Stojanowi zaś powiedziała, że jestto ich towarzysz podróży, z którym do Zarnicy jechać mają.

— Czy i on w *kasabie* naszej pozostać myśli?—zapytał Stojan.

— Niema zamiaru tego...—odpowiedziała doktorowa, uśmiechnawszy się na myśl, że brat jej podejrzewać gotów wszystkich o chęć osiedlenia się w ich *kasabie*. To przyjaciel męża mego, uskuteczniający dawno powzięty zamiar zwidzenia Wschodu.

Jedzie z nami do Zarnicy; zabawi tam dni kilka i uda się w dalszą podróż. Zaprośiliśmy go, pewni z góry gościnności rodziców naszych.

— O! co do tego, mówić nie ma o czem. To Anglik, a kiedy Anglik to musi być *tyrgowac*.

Doktorowa nic na to nie odrzekła, dla tego zapewne, ażeby nie sprawić bratu przykrości, odpowiadając przeczeniami na wszystkie domysły jego. Domysł ten panu Wayton nie ubliżał bynajmniej, w oczach zaś Stojana podnosił wartość gościa, żaden bowiem stan nie cieszy się na Wschodzie poszanowaniem tak wysokim jak kupiecki.

Wkrótce po rozmowie tej wybiła godzina spoczynku. Podróżni rozeszli się po kajutach, pozalegali łoża i spędzili noc w objęciach snu twardego, jakiemu zazwyczaj podlegają podróżnicy na parowcach, nawigujących po rzekach. Na morzu lada wiatr sprowadza kołysanie przyprowadzające o chorobę; na rzece statek idzie równo i chodem swoim naprowadza senność na powieki. To też znajomi nasi, pomimo myśli jakie się im po głowie snuły, nie zdołali oprzeć się potędze Morfeusza i nie pobudzili się aż nazajutrz, kiedy już słońce od dawna było nad horyzontem.

Statek ruszał wciąż i podróż odbywała się według przepisanej marszruty, regularnie i bez wypadków.

Na każdej skiełi podróży, jedni wysiadali, inni wsiadali. Tu parowiec zatrzymywał się dłużej nieco, ówdzie tyle tylko, ażeby wyrzucić worek z listami i depesze zabrać. Kiedy zatrzymał się na chwilę w Radujewcu, doktor, doktorowa, mister Wayton, Stojan znajdowali się na pokładzie i z wyjątkiem Anglika, mieli miny uroczyste, jakby w oczekiwaniu na niezwykle jakieś zdarzenie. Parowiec ruszył, w kwadrans później, na prawym brzegu Dunaju, wśród zarosli wodnego zielska i łoziny ukazał się budynek na słupach, z drewnianą galerją do koła i z żerdzią sygnałową, obok której stał czowiek na strzelbie opaty. Budynek ten był lichy i obdarty; człowiek, chociaż uzbrojony w pistolety i jatagan, nie miał jednak miny żołnierza z professji.

— Co to?...—zapytał mister Wayton.

— Ostatnia serbska strażnica...—odpowiedział mu doktor.

Anglik rzucił okiem na doktorową i nuż zapytał:

— Co to?... pani płacze?

Na słowa te doktorowej łzy obito po policzkach spłynęły.

Anglik wzrokiem, jakim się zazwyczaj patrzy, gdy nagle przedstawi się zagadka jakaś do odgadnienia, spojrział na doktora.

I doktor miał powieki wilgotne.

— Ja tu nic nie rozumiem!.. Co to jest?...

— To...—odparł doktor rękę wyciągając. To... ziemia nasza.... Bułgaria. Nie widzieliśmy jej lat tyle!

— Widok jej wzruszył was.

— Ach!.. jak wzruszyć nie miał!..

Anglik ramionami lekko ruszył.

— Niech cię to nie dziwi, przyjacielu.

— Nie dziwię się, tylko sobie w umyśle fakt ten zaznaczam, jako fakt pożyteczny, wyrażający się w ten sposób, że widok ziemi rodzinnej ludziorzzy z oczów wyciska. Słyszałem o tem, alem tego nie widział; w tej chwili widzę i przekonywać się zaczynam, że miłość ziemi ojczystej nie jest wymysłem żadnym. Jeżeli co mnie dziwi, to jedno chyba to, że sam, przyjeżdżając do Angli, nigdy wzruszenia podobnego nie doznawał.

Doktorowa na to ręką machnęła, innej odpowiedzi dać jeszcze nie mogła; doktor jednak, któremu wrażenie prędzej przeminęło, odparł:

— Bo Anglia nie znajduje się w położeniu Bułgarii. Boś ty dla Anglii nie zbierał tak po świecie całym ziarn, ażeby ją życiem zapłodnić, jak my dla Bułgarii. Gdybyś był na miejscu naszym, to i tobie by serce żywiej w piersi zakolało na widok tych płaszczyzn i tych siniejących na widnokręgu gór.

— Nie wiem tego. Może. Wierzę wam na słowo... i przed uczuciem waszem czoło chylę. Nie umiem, zdaje mi się czuć, ale umiem rozumieć.

Podał doktorowi dłoń. Doktor uściśnął ją w milczeniu, doktorowa uśmiechnęła się i głową ku panu Wayton skinęła—tak zakończyła się ta zaimprovizowana, mimo woli i wiedzy aktorów, scena rozróżnienia, której świadkami było kilku ludzi, ale której nikt nie rozumiał, z wyjątkiem Anglika.

Do granicy serbskiej towarzyszyły podróżnym naszym widoki górskie, przedstawiające się pod postacią szeregu pejzażów w ramach ciasnych, zmieniających się co chwila pod względem kombinacji przedmiotów i barw w nich zawartych. Tu przemagała zielen roślinności, ubierającej spadki, ówdzie posępna mszystość dzikich skał, tu widok cały ogniskował się w wąwozie, ówdzie w urwisku lub też w garbie, załamany w sposób szczególny. Poniżej Milanowca Dunaj załamuje się nagle ku północy, wchodzi pomiędzy dwie ściany opoczyste, wysokie a prostopadłe ścięte, i w punkcie tym za widok cały służy smug nieba w górze, pokazujący się niby z głębi przepaści. W miejscu tem góry się rozwarły dla otworzenia przejścia rzece słowiańskiej; zdaje się, że olbrzymy jakieś wyciosały w kamienistym ich łonie kanał głęboki, przesuwając w ten sposób groble i wpuszczając tą przerwą wody, które niegdyś zalewały Panonię całą.

Minawszy granicę serbską, postać rzeczy zmienia się nagle. Na prawo i na lewo otwiera się horyzont szeroki. Na prawo widać przestrzenie ogromne, pogarbione w pochyłości o spadkach łagodnych i oparte o smugi obłoczyste, zarysowujące się na niebie.

Na lewo wzrok się gubi w dali, rozciągającej się morzem zieleni, nieboskłon za widnokrąg mającej.

I Dunaj rozlewa się szerzej i świat dunajski przybiera charakter odmienny. Po nad rzeką co chwila przeciągają z krzykiem stada gęsi dzikich, uwijają się rybitwy, przelatują czaple i kaczkę, powietrze napelnia wrzawa ptactwa wodnego, a na kępach, na tle zieleni, ukazują się tu i ówdzie długie białe szeregi łabędzi i pelikanów. Na lewo Wołosza, na prawo Bułgaria; pierwszej wybrzeża dunajskie rozlewają się w trzęsawiska trzciną zarosłe, drugiej rozwijają się w stepy bujną trawą okryte i mającemi źródła swoje w Bałkanach rzekami poprzerywane.

Wbiegające pomiędzy rzeki te, w miejscach niektórych, odskoki Bałkanów tworzą urozmaicenie, nadające krajowi, z pokładu parowca oglądanemu, wdzięk nie do opisanie.

Najpierwszem miastem bułgarskiem, przy którym,

parowiec się zatrzymał, był Widdyn, warownia turecka. Ponieważ jest to najważniejszy punkt handlowy w tej części kraju, przeto statki parowe Dunaj obsługujące zatrzymują się przy nim na godzin parę. Podróźni nasi skorzystali z okoliczności tej. Mister Wayton chciał mieć przedsmak wschodu. Wysładli z ostrożnością, mimo zapewniających przystań kadzi z dziegiem, beczek z oliwą, kup węgla i wórow z różnymi artykułami handlu niejścowego przeszli i do miasta się dostali. Anglik oglądał się ciekawie do koła.

— Och!..och!..—wywoływał co chwila

— Chodźmy dalej... — zachęcała doktorowa.

— Och!..och!..

Stawał co moment, głowę podnosił i wahał.

— Co to panu?

— Nie mogę zadowolnić zmysłu widzenia, próbuję ażali zmysł powonienia szczęśliwszym nie będzie.

— To nie Londyn ani Heidelberg... — wtrącił doktor.

— Przysnąję ci słusność, przyjacielu... — odparł Anglik. Masz rację. Pragnął bym jednak widzieć coś więcej nad mury zagadkowe i nad ściany bez okien.

— Pragnieniu twemu, niestety! zadosyć stać się nie może, chybaś przekroczył próg jednej z tych furtek zakazanych.

Tu wskazał doktor na furtkę w murze z progiem wysokim.

— A za tą furtką co?

— Przybytek szczęśliwości... eden ziemski wyznania proroka.

— Ciekaw bym był zajrzeć do edenu tego, ale to niepodobna, trudno. A zresztą...

Ręką od niechęci machnął.

— Co?... — zapytała doktorowa.

— Można przedstawić to sobie w wyobraźni, w upiększeniu... Tyle się o tem czytało!.. W rzeczywistości haremy tureckie wyglądać muszą inaczej trochę, aniżeli w opisach. Pani wie coś o tem zapewne.

— Znam wnętrza haremowe.

— I cóż?..

Doktorowa ramionami wzruszyła; Anglik zaś na odpowiedź jej nie czekał, uwagę jego zwróciło na siebie Turczynek kilka, osłoniętych *jaszczakami*, okrytych długimi po ziemi włóczkami się płaszczami i zbliżających się krokiem powolnym z powodu *papuczy* niezgrabnych, które im iść swobodnie przeszkadzały. Podróźni nasi zatrzymali się, Turczynki przeszły. Mister Wayton głową pokiwał i rzekł:

— Są to gąsienice, które się w motyle zmieniają i na odwrot. Powiem jednak coś, co się państwu może paradoksem wyda. Turcy względem kobiet swoich szerszy są aniżeli my. Oni kobiety zamykają, pozostawiając dla nich alternatywę gąsieniczą i motyla; my zaś trzymamy je wiecznie w stanie motylim i zamykamy, nie kobiety wprawdzie, ale przed kobietami świat ten, w którym one mogłyby zostać czem innym, niż motylami. Są one u nas wolne niby; wolność ta jednak formami tylko od tureckiej niewoli się różni. Co pani na to?..

— Paradoks pański nie jest bez podstaw pewnych — odparła doktorowa.

Ulica wszakże nie była miejscem — do prowadzenia dyskusji, takiej zwłaszcza obszernej, jak ta, która by się wywijać mogła z potraconego przez Anglika przedmiotu. Trzeba było iść dalej i przyspieszać, ażeby obejść labirynt ulic i uliczek płaczących się w Widdyniu i nie spóźnić się na parowiec.

Podróźni nasi obejrzeli wszystko godne widzenia, oglądali pałac gubernatorski, meczety i studnie, wyszli na wały cytadeli rzucili okiem na przedmieścia sadami zapelnione, odpoczęli w kawiarni i powrócili na parowiec na minut kilka przed odbiciem onego od brzegu.

Anglik odetchnął, obcierając pot z czoła i wachlując się chustką od nosa.

— Jakież wrażenie? — zapytała go doktorowa po chwili.

Hm? wrażenie? Niech mi pani zostawi trzy dni czasu do namysłu, ażeby sobie samemu najprzód z wrażenia zdał sprawę. W tej chwili bowiem doznaję wrażenia przechadzki po lesie i nie uporządkowałem jeszcze sobie w myśli przedmiotów, jakie w lesie tym widziałem. W perspektywie miasto inaczej wygląda.

Uwaga ostatnia odnosiła się do widoku, jaki się

przed oczyma z pokładu parowca roztaczał. Miasta tureckie to mają do siebie, że inaczej przedstawiają się zdaleka, inaczej zblizka. Zdaleka wyglądają naksztalt owych ogrodów zaczarowanych o których baśnie ludowe cuda opowiadają — tyle tam blasków! tak się tam w fantastycznym układzie łamią barwy i kształty! z blizka wstręt budzą. Anglik nasz przypatrywał się Widdyniowi przez czas niejaki i następującą uczynił uwagę:

— Jakież to obraz piękny ułożyć można... z brzdów!

Zwrócił się do doktora i spojrzał nań wzrokiem pytającym.

Doktor lekko ramionami ruszył.

— He?

Domyślam się, iż masz w myśli przystosowanie, jakieś ale odgadnąć nie mogę, jakie mianowicie.

— Chcę przenieść ten efekt, jaki sprawia miasto tureckie w perspektywie, na efekt, oglądanych także w perspektywie czynów ludzkich. Co to za obrazy wspaniałe układają się z wiarołomstw, oszustw, podstępnych kradzieży, otwartych grabieży, gwałtów, kłamstwa i brzdów i aiskaradniejszych! Czytaliście kiedy z uwagą historię?

A nie czekając na odpowiedź, dodał.

— Radzę wam, weźcie do ręki historię pierwszą lepszą, chociażby naszą własną, bułgarską, i odczytajcie ją z uwagą, to jest analizując przedmioty, które się na obraz dziejowy składają. Nie znam lektury pożyteczniejszej. Wzmocnia ona umysł i orzeźwia, jak wzmocnia i orzeźwia ciało kuracja zimną wodą. Nie probowaliście tego?

— Czytaliśmy historię — odparł doktor tonem zakłopotania lekkiego.

— I czy to ona wzbudziła w was miłość do Bułgarii?

— Patrz na niego — odrzekł doktor na Stojana oczami ukazując. On historii nie zna wcale.

— I kocha Bułgarię?

— Daj mu jeno sposobność dowiedzenia miłości swej dla niej! On ją kocha i ja ją kocham, dla tego, że stanowi ona własność naszą przyrodzoną.

— *All right!* zawołał Anglik. Kochacie w niej samych siebie; w jej krzywdach widzicie, pokrzywdzenie samych siebie pogwałcenie natury waszej.

To, to rozumiem.... Gdyby mi kto Anglikiem być zabraniał, tobym z nim proces o własność moją przyrzoną rozpoczął od tego, iżbym mu łeb roztrząskał.

Frazes ostatni poparł giem odpowiednim, który w ten wyraził sposób, iż rękę z kułakiem zaciśniętym do góry podniósł i brwi srogo namarszczył.

Tym czasem statek ruszył, Widdyn niebawem znikł z oczów i zamieniły go widoki inne. Natura w całej dziewiczości swojej roztaczała się przed wzrokiem człowieka ucywilizowanego przyzwyczajonego widzieć kulturę na każdym ziemi kawałku.

Dla Bułgarów była to rzecz zwyczajna. Anglika zajmowało to bardzo żywo. Przypatrywał się, głową kręcił, dziwił się i rozpytywał o szczegóły różne, które bądź mu w oczy wpadały, bądź też na myśl przychodziły.

Rozmowa toczyła się w języku angielskim.

Zanotować tu musimy osobliwość jedną, której milczeniem pominąć się nie godzi. Osobliwość ta dotyczy Stojana. Kiedy go siostra z panem Wayton zapoznała i on się o narodowości swego znajomego dowiedział, to wręcz siostrze oświadczył, że się z nim rozmówić potrafi.

— W jakim języku? — zapytała doktorowa.

— W jakim? Coż to ma do rzeczy!

— On po bułgarsku nie umie.

— To nic nie znaczy.

— Uczyłeś się chyba po angielsku?

— Mówiłem ci, że się uczył w Bukareszcie przez lat trzy.

— Po angielsku?

— W każdym języku: po angielsku, po francuzku po łacinie... a nawet i po niemiecku *małko rozbiram*, pomimo że *azbuka* niemiecka inną jest aniżeli francuzka lub angielska... ałem się i tej wyuczył.

Doktorowa nie na to nie odpowiedziała. Stojan jednak, słysząc rozmowę jej z Anglikiem, zapytał:

— Jakimże to językiem z nim *hutorisz*?

— Po angielsku przecie.

— Bre...bre odrzekł Stojan głową kiwając. Już po angielsku umiem, a tu *hycz nie rozbiram*. Coś to w tem być musi. Albo ty z nim nie po angielsku

mówisz, albo ja po angielsku nie prawdziwie się wyuczył.

Doktorowa uśmiechnęła się na te oryginalną brata uwagę, Stojan zaś zachodził, podsłuchiwał, przysłuchiwał się i z podziwu wyjść nie mógł, że nie tylko rozumieć, ale nawet brzmienia żadnego uchem zachwycić nie jest w stanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

Boże Narodzenie. — Podarki. — Książki. — Auerbacha powieści wioskowe. — Ilustracje i desperacje. — Chleb z masłem. — Na ruinach. — Tapicer wykołojony. — Ostatni dzień roku w Wiedniu. — Mój Leopold. — Wielmożna pani. — Lalka berlińska. — Dzieje Gründerskie. — Andersena Bazar poety. — Rzym. — Amalia, powieść amerykańsko-hispańska. — Sand. — Powieści babuni. — Pani Audouard. — Serdeczna przyjaciółka. — Dyrektoryat. — Mamzel Angot. — Merveilleuses. — Czarowne dramata. — Dżenghis-kan Gutzkova. — Dramat Falconera. — Teatr moralny w Paryżu. — Shakespeare w Niemczech i w Anglii.

Boże Narodzenie w Niemczech jest, jak u nas Nowy Rok, dniem podarków — darzą się wszyscy w rodzinie, służba, przyjaciele, znajomi, a szczególnie dzieci. Zabawek dzieciennych tysiące się w wigilię rozchodzi, tak, że ich czasem dostać pod koniec nie można. Do podarków należą też piękne, ozdobne wydania książek dla starych i młodych dzieci. W tym roku żałę się wydawcy, że im nadzwyczaj mało przygotowanych ilustrowanych edycji się rozszło. Jednak niektórzy pisarze mają szczęście, do nich należy Berthold Auerbach. Jego *Barfüssele*, owa słiczna historyjka, jaką raz w życiu tylko udaje się stworzyć pocie z ludowego materyału, z wiecznie w powietrzu krążących powieści, doszła w tym roku do 77000 egzemplarzy z nowem miniaturowem wydaniem. Gdy się jakiej książki rozejdzie po świecie liczba tak znacząca, mówi to coś o jej wartości. Stała się *Barfüssele* klasyczną i liczy do tych utworów, które są na półce w każdym domu. Zwykła ilość egzemplarzy dzieł wydawanych dla czytelników, bo tu przeważnie dla nich drukują księgarze, a pokup jest bardzo mały, wynosi około 2000. Czytelnie obrachowują w całych Niemczech na 1500. One jedne nowości nabywać muszą i biorą. Berthold Auerbach i jego wiejskie obrazki, należące do najpopularniejszych w Niemczech. Wydanie tegoroczne jest bardzo ładniuchne, ozdobne, kieszonkowe i oprawne wdzięcznie, ale zbyt tanie nie jest. *Barfüssele*, Józef w śniegu i Lorle, wyszły w jednakowych formatach i w podarkach na Boże Narodzenie zajęły miejsce prawie pierwsze. Książki dla dzieci ani smakiem, ani artystycznością się nie odznaczają, oprócz Oskara Pletscha ilustracji, który dziś zajmuje to miejsce, jakie niegdyś Ludwik Richter miał między ilustratorami naiwnymi. Pletsch milucho sceny dzieciinne pojmuje i tworzy, szkoda wielka, że ich u nas nie postarano się upowszechnić.

Dla uboższych rodzin znalazły się po księgarniach nawet dwuzłotowe i tańsze jeszcze, jaskrawo pomalowane podarki, ale w tym roku krachów, ruin, szachrajstw i strat, wigilie były oszczędne i smutne, wiele rodzin nie już o cackach dla dzieci, ale o chlebie dla nich przemyslać musiało. Nigdy może w Niemczech ciszej nie przeszły święta. Bankrutwa i drożyzna podały sobie ręce, aby biednym ludziom jasny blask gwiazdki zasłonić. Gdybyż choć lepszą przyszłością mógł zaświecić rok nowy! Ale napróżno wyglądają poszkodowani ratunku, nie widząc skąd by on mógł nadejść. Nieszczęśliwe gospodynie prawie bunt musiały podnieść przeciwko przekupkom i stowarzyszyły się, aby murem stanąć jako jedna niewiasta, na wymagania handlarzy. Była mowa o wstrzymaniu się od masła, przez czas tak długi, ażeby ono upokorzone powróciło do skromnej ceny dawniejszej.

Każdy naród ma właściwy sobie sposób przekarmiania się: Francuz żyje winem i bułką, Anglik mięsem i porterem, Włoch limonadą i sałatą, Niemiec kawą, chlebem z masłem i piwem. Kartofel ledwie najuboższych jest strawą. Chleb z masłem stanowi rzeczywistą podstawę niemieckiej kuchni. Starzy, dzieci jedzą go o wszystkich dnia godzinach. Dro-

żyzna masła staje się klęską narodową — czemu je zastąpić? Zaczęto wprawdzie wyrabiać, jak mówią, przedziwne masło z łożu, ale wolelibyśmy go nie próbować.

Od Auerbacha i chleba z masłem rozpoczynawszy tegoroczną korespondencję, doprawdy nie wiem, czemu ją zapełnić, taka cisza w Niemczech po ruinach giełdowych panuje, głowy posypane popiołem, oblizana wyżółkła, oczy spuszczone w ziemię — prawie rozpacz. Co tu robić? Chmurny horyzont nie zapowiada pogody. Mówią o zmianie stopy menniczej na złotą, a złota zapowiedzianego nikt nie widzi w oczu; mówią o miliardach, a nędza doskwiera więcej niż dawniej.

Gdziekolwiek się człowiek obróci, spotyka westchnienia i uzalenia. Na wystawie sztuki pan kasztelan (tak się tu zowie jej dozorca) stęka że nikt, ale to nikt nie kupuje obrazów i że przyjdzie je chyba do Ameryki wyprawić, księgarz pokazuje stoły zarzucone nietkniętymi książkami; w magazynach blawatów odprawiają komisantów, bo nie mają co robić; rzemieślnicy jednoczą się, by na loteryę wypuszczać zapasy swych składów, o które nikt nie pyta.

Jeszcze przed niedawnym czasem tak było wesoło i tak się uśmiechały różowe nadzieje graczom giełdowym, że wszyscy zapragnęli grać na giełdzie. Dziś każdy ogląda się za tem, co pocznie, straciwszy nie tylko stawkę, ale nadzieję i rachubę. Znowu więc potrzeba powrócić do nudnego rzemiosła i ciułania po grosiku! a tak by się nie chciało. Miałem tu znajomego człowieczka, który wcale zręcznie wykładał ściany obiciem — dobrze mu się działo. Nastąpiły dnie spekulacji. Jednego poranku spotkałem go na ulicy, ale bez fartucha, ręce umyte i pierścien świąteczny ogromny na palcu, cylinder świecący świeżą powłoką, palto eleganckie, buty lakierowane i twarz powagą a ważnością okryta. Zmienił się człowiek. Właśnie trzeba było trochę zbrukane obicie kawałkami pozakładać; z nieśmiałością zbliżyłem się do niego. Na zapytanie moje odparł z pogardliwym uśmiechem, że się już rzemiosłem nie trudni. — Mam-że waćpanu powinszować spadku czy?... — Jestem agentem do sprzedaży i kupna kamienia... Powinszowałem mu. Niebora siedzi teraz w knajpie i wzdycha. Spekulacji czas minął na długo, a do obicia i klajstru powracać się nie chce. Zwicnięło się tak ludzi wielu ładnym zyskiem; przyszły dni pokuty, ale nie ma skruchy, jest tylko gniew i złość, że się tak pięknie snuta złota nie zerwała.

Z jednej strony utrapiona polityka, z drugiej pieniężne straty, z trzeciej... al znalazła-by się nawet czwarta — słowem, że w Niemczech zaczął się Rok Nowy pod smutnymi wróżby. W stolicy Nad-Dunajskiej o samej północy zapalił się Grand-Hôtel i przyswiecał symbolicznie skończonemu latu pożarów i klęsk.

Idźmy na teatr, żeby się rozerwać choć trochę. W teatrze — co w Niemczech jest niezmierną osobliwością — dają sztukę oryginalną, czysto niemiecką, *Posse mit Gesang*, pod tytułem: „*Mój Leopold*“. Szczególna rzecz! oryginalna jest sztuka, ale Niemiec co ją pisał nazywa się *po francuzku*: „*L'Arrouge*“. Jakiś fatalizm przesładuje ich nad Spreą. Oryginalności czystej dobić im się niepodobna, zawsze się do niej jakieś ziarno obce przymiesza. Trapi ich to niezmiennie. Wczoraj Lening postrzegł się, że w przemyśle artystycznym na wystawie zwyciężeni zostali przez Francuzów, dziś okazuje się, że w drzeworytnictwie stoją daleko niżej niż Francuzi, jutro będą musieli przyznać, iż w teatrach jeśli nie przegryają, nie wynasładają, nie wytłumaczają — sami sobie nie podofają. To upokorzenie samo, zdaje się, starczyłoby dla przekarmienia nienawiści ku Francji. „Trzeba pójść, zniszczyć ją z kretelem, a wówczas wszystko nasze wyda się lepiej.“

Lecz wróćmy do „*Kochanego Leopolda*“. Myśl sztuki bardzo prosta, ale zdrowa i do ludowego dramatu wybornie dobrana, choć może nie zupełnie świeża. Pocziwe ojczyisko kocha się w swym synu, pięści go, pozwala mu na wszystko, wychowuje go na nieponiałości tego, że syn go rujnuje i najniebezpieczliwszym czyni. Historia znana, lecz temat do dramatu popularnego doskonały. Ludzie często krocą szukając bardzo nowego w treści, sami nie wiedzą czego chcą. Nowych rzeczy na świecie nie ma, ale każda nowa stać się może — formą, sztuką, no-

wem pojęciem i artystycznym obrobieniem. Goniąc za nowością, gdy ona nie przychodzi sama, wpada się w naciągane i nie zdrowe dziwactwo „*Mój Leopold*“ z powszednim bardzo tematem, na scenę umiejętnie ułożony, poszedł wybornie, podobał się i będzie żył. Surowy sędzia i sam zręczny *à la française*, pisarz dramatyczny pan Paul Lindau, raczył Leopolda pogłaskać. Śpiewki tylko zdały mu się nie koniecznie potrzebnym dodatkiem. Ma słuszość. „Robi to nie przyjemne wrażenie“ — odzywa się krytyk — gdy pan Wegner odzywa się: „Idź na przód, ja tu jeszcze chwilę zostanę.“ Wiemy od razu, iż nas czekają kuplety. Albo gdy inny artysta każe w drugim pokoju czytać list współtowarzyszowi, aby miał czas wyjść naprzód i znowu uczestować nas kupletem.

Sztuka miała być wybornie odegrana i temu w znacznej części powodzenie swe zawdzięcza.

Mój Leopold jest noworocznym podarkiem dla niemieckiej publiczności. Ażebyście mieli jeszcze wyobrażenie co jej przynosi na Nowy Rok dziennikarzy, powtórzmy tu za jednym z najdowcipniej redagowanych tygodników berlińskich, króciuchną powiastkę, jaką obdarza swych czytelników. „Było to w grudniu roku pańskiego 1872, w chwili majowego rozkwitu Gründerstw, w tym czasie, gdy Niemcy liczyli więcej złotem obładowanych osłów niż twierdz, któreby z ich pomocą zabrać było można. Gdy się te czasy od nas tak odsuną, że w szarem oddaleniu widzieć je będziemy, powieść będzie się musiała zaczynać. Onego czasu był sobie jeden człowiek, który nie miał nic, a nazajutrz został milionowym.“

Dzieci, którym tę historyjkę opowiadać będą, naturalnie jej nie uwierzą, a my im zawczasu już dziś za zdrowy ich rozsadek składamy dzięki.

Było to więc w ostatnim miesiącu roku pańskiego 1872. Oczy wszystkich przechadzających się Pod Lipami, dla przypatrzenia się wystawie Bożego Narodzenia, zwracały się na stojącą w oknie postać niewieścią. Dama była wysmukłych kształtów i zdumiewała, nawet na owe czasy grunderskie, niesłychanie wspaniałem i wytwornem ubraniem. Nie przypominam sobie tak dobrze szczegółów, ale mi się rzadko zdarzyło widzieć, by czarny aksamit kaptanika tak alabastrową białosć szyi podnosił, w żadnym salonowym romansie nie spotkałem się z tak pięknymi, obfitemi lokami, spadającymi na śnieżne ramiona, aż do dyamentami wysadzanej przepaski. Otóż za przepaską sterczała wsunięta karteczka z napisem: „*Sprzedana*“. Była to lalka, taka lalka, jakie się zjawiają tylko w czasie, gdy na giełdzie papiery idą w górę. Na zabawce tej było piętno naszych miliardów. Dzieci bogatego Gründera musiały mieć takie zabawki drogie, jak ojciec, który się bawił majątkami swych akcyonaryuszów; fabryki lalek musiały się starać, aby rzeczy przepyszne tworzyć i wytworne i drogie.

W kilka dni potem zobaczyłem się znowu z tą lalką.

Siedziała w salonie na atłasem wybitym fotelu. Zbliżka widziana traciła nieco na powadze. Wyglądała, z pozwoleniem, tak głupio, jak najtańsza lalka, a przyciśnięta trochę palcami, odzywała się mało co więcej nad baronową Rotschild, gdy u Mac-Mahona rozmawiała z postem niemieckim. Jednem słowem była nudna, tak jak proste lalki, a nawet bawić się z nią pewnie musiało być niewygodnie, bo jej strój odstraszał.

Lalka ta przecież miała swe znaczenie, bo gdy do pokoju weszła gospodyni domu, matka dziecięcia, a żona Gründera, można było dostrzedz, że ona i lalka prawie jednakowo były ubrane. Uderzające podobieństwo. Jedną tylko różnicę wybitną dawało się widzieć między nimi. Żyjąca osoba mówiła więcej, choć nie obfitemi myślami. Gdyby jak lalkę trzeba ją było pocisnąć palcami, dla wydobyć z niej głosu, nikt-by pewnie jej nigdy nie dotknął.

Tymczasem rok upłynął.

Giełda jeszcze drgała po Krachu, jeszcze domy które się utrzymały, chwiały się na posadach. Wśród ruin i gruzów błądzili akcyonaryusze i mawali opróżnione kieszenie.

Złote sny się rozwiały. Gründer o którym mowa, mieszkał przy nadchodzących świętach 1873 roku, w bardzo skromnym lokalu i na trzecim piętrze. Gdy papiery jego spadły, on sam musiał iść w górę.

Z tego powodu trzeba było resztkami przeszłorocznej wili ozdobić drzewko na gwiazdkę. Poodczyszczano, ponaprawiano co było i jak było można. Wielmożna lalka siedziała teraz na prostym krześku obitem perkalą, a przy niej stała matka dziecięcia, znowu tak samo ubrana jak lalka. Obie miały proste wełniane sukienki, ogromne loki zastąpił włos gładko przyczesany, a za paskiem na którym niegdyś świeciły dyamenty, oko czytało napis niewidzialny: „*Sprzedane*“. Obiedwie dostały głowy nowe, ale mowę utraciły zupełnie.

Dzieci bawiły się niesłychanie z lalką, z którą nie potrzebowały robić ceremonii i obchodziły się z nią tak bezwzględnie, jak niegdyś papa z majątkiem akcyonaryuszów.

Jak widzicie Krach daje się czuć i odbija nawet w niemieckiej nowo-rocznej literaturze.

Ostatnie cztery tomiki bardzo miłego Andersena noszą tytuł: *Bazar poety*. Składają się na nie wrażenia z różnych czasów i rozmaitych krajów: z Niemiec, Włoch, Grecji i Wschodu. Zajmujące są to obrazki kreślone ręką artysty, który nie potrzebował wysilać się na wielkie frazy, aby uczynić wrażenie, i ze zdrową prostotą kreślił prawdziwe uczucia, zdawał sprawę z tego, co widział. Każdy przybyszający do Rzymu naprzykład, czuje się przejętym jakąś powagą świętego miasta, czemś niewystowienie wielkiem, co ma w duszy, a czemu może wrażenie nie odpowie zrazu. Stąpa po tej uświęconej wspomnieniami ziemi, ledwie śmiejąc dotknąć jej stopą. Andersen swój wjazd do Rzymu i pierwsze wrażenia maluje z dziwną prostotą.

„Podróżny przybyszający z Północy do wiekniejszej stolicy — pisze on — sądzi, że zobaczy miasto, które mu Norymbergę przypomni, lub coś starożytniej jeszcze napiętnowanego, zdziwi go wesołość oblicza, regularność budowli, nowożytna powierzchowność miasta. Spotykamy naprzód wielki, piękny plac z obeliskiem i fontannami, wytwornymi hotelami, wspaniałymi tarasami, nowymi posagami i płaskorzeźbami, wśród których młode, wonne akacje tworzą ulice. Tu wielki świat przejeżdża się w pięknych powozach, angielski i rzymskie dandysy pędzą konno. Jedyna rzecz, co to wrażenie nadwiera, to spotkanie pary czerwonych powozów kardynalskich, z woźnicami i lokajami w perukach i trójgłaniastych kapeluszach.“

„Naprzeciw bramy wychodzą trzy ulice (Rabbuino, Corso i Ripelta) Corso jest średnią, tu się zwykle odbywa karnawał, kursa i spacer. Ulica to wspaniała, z szerokimi chodnikami kamiennymi, sklepami, kościołami, a przedewszystkiem pełna ludzi. Przejeżdżamy nią, zwracamy w lewo na bok i znajdujemy się na tak zwanym placu hiszpańskim. Mówią, że raz Tyber wylał tak szeroko, iż czółno aż na plac zapłynęło; nagle wody opadły i czółno osiadło tam właśnie, gdzie dziś się wodotrysk znajduje. Michał Anioł, który miał dać rysunek fontanny, wziął to czółno za motyw i po dziś dzień widzimy, wśród okrągłego bassenu, kamienne czółno, z którego woda wypływa.“

Przyznacie, że niepodobna spokojniejszym umysłem wjechać do Rzymu, i prostszym sposobem zdać sprawę z wrażenia.

Wjazd do Rzymu czyni daleko silniejsze, większe wrażenie, niż do jakiegokolwiek bądź w świecie stolicy.

W niezmiernem oddaleniu, jadąc pustynią, widzi się zdala kopułę Piotrową, jak wzgórze królujące nad rozległą Kampanią. Cisza tego ogromnego cmentarza, co otacza gród; wyludnienie, step dziki, przygotowują dziwnie do widzenia starego grodu, który się nagle zjawia, jakby wyrósł z ziemi. Do koła nie ma życia, budowli, ludzi — cisza głucha — nagle z równin wyschłych, po których gdzieniegdzie sterczą rozsiane groby w gruzach, wjeżdża się na ten plac, o którym mówi Andersen. Ale się nie widzi naówczas ani obelisku, ani wodotrysków, tylko ten gmach Piotrowy, który panuje nad wszystkim i do którego, grobu męczenników, ciągnie cię urok niezwykły. W Rzymie nie myśli się o niczem więcej, tylko o tem, aby naprzód ukłęknąć u grobu Apostołów.

Inaczej widzi to i opisuje Andersen: „Żyją jeszcze Bogowie! — woła on — tak, mówi się to w bajce, ale w rzeczywistości? Rzeczywistość często jest jakby bajką i marzeniem.“

Dzieci które czyta: „Tysiąc i jedną noc“, wid

w swej wyobraźni cudowne zamki zaczarowane i bawi się nimi; ale nadchodzi starszy i mówi: Nie podobnego w rzeczywistości nie ma; a przecież są w rzeczywistości cuda. Watykan i Piotrowy kościół w Rzymie są czymś tak wielkim, tak wspaniałym, iż wejrząwszy na nie, przypominasz sobie owe zamki, które fantazja w starej księdze Wschodu pobożnie budowała. Sami możemy widzieć i przekonać się, że starzy bogowie żyją jeszcze.

Opisy Andersena są pełne szczegółów, jasne, wyraziste i dobitne. Każdy z tych rozdziałów króciuchny, ale zamyka wiele i zostawia po sobie wrażenie wiernie pochwycionej i oddanej prawdy. Całe te cztery tomiki nią się szczególnie i prostotą odznaczają, a różnią wielce od zagmatwanych patosem i nawałem słów próżnych opisów innych podróży.

Kilka powieści wspomnieć musimy. Pierwszą z nich jest hiszpańska Jose Marmol *Amalia*, przerobiona na język niemiecki przez Breitingera, historyczne opowiadanie z dziejów Ameryki. Autor jej żył za czasów straszliwej dyktatury Rozasa w Buenos-Ayres i przedziwnie odmalował społeczeństwo swe i świat mało nam znany. Autor nie żyje już i jest to pierwsza i ostatnia praca jego, w Europie znana.

Bardzo ciekawym w swoim rodzaju zjawiskiem, są pani Sand „*Powieści babuni*” opowiadane wnukom. Któżby się po Lelii i burzliwych początkach genialnej autorki, takiego końca spodziewał... Moralne powieści dla dzieci! Nie mają już one rozgłosu pierwszych, ale są nacechowane tym darem słowa, którego pani Sand do dziś dnia nie straciła. Bóć się nim wielorako posługiwała. Fantazji w nich też nie brak i wdzięku poetycznego. Po troszę są to „bajki”; żywioł fantastyczny gra w nich ważną rolę — miłość — żadnej. (Tomik ten zawiera: *Le château de Pictordu*. *La reine Coax*. *Le nuage rose*. *Les ailes de courage*. *Le géant Yeous*).

Mniej się zaleca, choć pięknie pisana, powieść pani Olimpji Audouard: „*Serdeczna przyjaciółka*” (*L'amie intime*), która zakrawa na romans kryminalny, to jest na najgorszy rodzaj romansu, jaki pod słońcem istnieje. Autorka, jak wiadomo, wiele widziała świata i życia, zwiedziła Amerykę, którą opisała, równie jak Egipt i tajemnice tureckich haremów. Dołączona do „*Serdecznej przyjaciółki*” małeńka powiastka: „*Historia bukietu*”, jest pełna wdzięku i wielce udatna.

We Francji, jedna z epok najmniej ku sobie pociągających, ów przejściowy Dyrektoryat, chwila może ciekawa jako moment psychologiczny (według wyrażenia księcia Bismarcka) ale niemiła i nie sympatyczna, widocznie wchodzi w modę. *Mamzell Angot*, ma równe powodzenie, jak *Merveilleuses Sardon*. Obie te sztuki są z czasów Dyrektoryatu. Pierwsza z nich już jest przerobiona i grywana w Berlinie. Operetki i czarodziejskie przedstawienia ściągają najwięcej publiczność do teatru. Na Kopciuszku (*Aschenbrödel*) odegrzywamy z niezmiernym mistrzostwem dekoracji i bogactwem ubiorów, teatr zawsze pełen, czy go odegrzywa trupa Renza na koniach, czy piosi artyści na teatrze. *Succewitchen*, równie szczęśliwa jak *Prinz Honigschnabel*. Dzieci stare i młode bawią się przedziwnie na tych przedstawieniach, których treść im złote czasy przypomina. *Gutzkova*, wielkiego niegdyś mistrza, dziś potroszę weterana, jeśli nie inwalida, gra w Wiedniu z powodzeniem *Dżenghiskana*. Z tytułu niech się tylko nikt nie domysla historycznej tragedii, jest to jedno-aktowa sztuczka, niewinna i prościuchna. Młoda panią, która się kształci na guwernantkę, w chwili zdawania stanowczego egzaminu, zmieszana, zmyla się i zamiast Bajazeta, odpowiada Dżenghiskaniem. Wprawia ją to w rozpacz i gdyby nie kuzynki, którą ją przybywa pocieszyć i żeni się, nie wiem prawdziwie, do jakiej-by przyszło ostateczności, może do drugiego egzaminu bez omyłki. Takie drobniuchne rzeczy, dobrze grane, mogą mieć wiele wdzięku, bo rozmiar ich pozwala bez naciągania efektów, wziąć cały wizerunek z natury.

W Adelphi-theater w Londynie, dramat z czasów powstania w Irlandji 1795 roku, przez Edmunda Falconera, napętnia salę i budzi żywe zajęcie. Jedną z głównych ról gra sam autor.

W Paryżu myślą o założeniu teatru dla ludu i w ogóle dla tych, co lubią scenę, nie życzyliby się na niej spotykać z tem, co razi przesadą i niemoralnością dla efektu. Panna Sawary, niegdyś artystka

teatru „*Français*” jest na czele spółki, mającej przedsiębiorstwo to przyprowadzić do skutku. Pół miliona franków zebrano już, i chcą na ten cel najać teatr liryczny. Teatr nie będzie moralizującym, bo mógłby być łatwo nudnym, ale chce nie być demoralizującym.

W Niemczech wiele grają Shakespeara, pomimo, że umierający Benedix, pragnął zdjąć zeń czar wiekuisty, którym nieśmiertelny William ciągnie ku sobie. W Berlinie z kolei biorą dramata jego, studują na nowo i z wielką troskliwością wyprowadzają na scenę, szczególnie mniej znane, a do grania trudniejsze. Toż samo w Lipsku, a niekiedy i w Dreźnie. W Anglii znalazł się temi czasy paradosista, który dowodzi, że teatr Shakespeara nie jest Shakespeara, ale mnóstwa różnych ichmościów, którzy pod jego imię się, jak pod dach, schronili. Co za szesliwy wiek, który miał jenjuszów tylu!

Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet.

Zakład połączonej pracy kobiet we Włocławsku, wzniesiony w roku zeszłym przez dawną ochmi-strzynię tamże istniejącej pensji, panią A. Buflę, a będący razem pracownią i szkołą, przedstawia po roku istnienia szczęśliwe jak na początek owoce. Przez rok ubiegły pobierało w zakładzie naukę osób: szycia ręcznego 26, szycia na maszynie 14; kroju 42; strojów 15; kwaciarstwa 18; rękawicznictwa 9; parasolnictwa 3; szewstwa damskiego 20. W buchalterji kształciło się osób 17; w rysunkach 15; co wszystko razem wzięwszy stanowi jak na początek i w mieście prowincjonalnem ruch dość znaczny. Trzeba tu nadmienić, że między uczennicami są nietylko osoby zupełnie dorosłe, ale nawet mężatki, które zapragnęły zapewnić sobie możność jakiejś pracy zarobkowej. To też nauka już nie dzieci idzie prędzej, i 35 uczennic naukę w przedmiocie swoim przez ten rok ukończyło i albo pracują w domu, albo znajdują zajęcie w pracowni zakładu; inne zaś uczennice pomieściły się w pracowniach innych. Pani Farkiewicz wyuczywszy się w zakładzie szewstwa (nauczycielem był szewc sprowadzony z Poznania) jest tam obecnie przewodniczką w wydziale szewskim, który zawsze liczy dość uczennic. Obuwie wyrobione w zakładzie jest bardzo dobre; bardzo zrzeczne i ładnie wyglądające buciki skórkowe, ozdobnie białym jedwabiem wystębnowane kosztują rs. 2. Do cen zbyt stosować się muszą i ceny roboty. Za uszycie pary bucików damskich płaci zakład kop. 50, za buciki dzieciinne kop. 25; za uszycie koszuli męskiej od kop. 60 do rs. 1 kop. 20; za koszulę kobiecą od kop. 50 do rs. 1 kop. 5. Pracowni zakładu nie brak nigdy zajęcia, i kapitał włożony w przedsięwzięcie przynosi dostateczny procent, płacąc trzem wydziałowym nauczycielkom, w zakładzie pozostającym, po rs. 200. Z tych: p. Chyczewska uczy kroju, i zajmuje się zarazem praktyczną buchalterją zakładu. Panna Braun uczy kwaciarstwa i strojów; p. Banasiewicz szycia na maszynie i pod jej kierunkiem dokonywają się wszystkie zamówione w zakładzie roboty w tym kierunku. Panowie: Buszard, nauczyciel gimnazjalny, udziela lekcji rysunków, Fybiach buchalterji i wprawia zaraz w prowadzenie praktyczne ksiąg handlowych. Z Nowym Rokiem zakład otwiera naukę introligatorstwa, później nieco zamierza urządzić naukę szmuklerstwa, a spodziewać się można, że oba te przedmioty powinny znaleźć sobie dostateczną liczbę uczennic.

Uczennice z dalszych okolic, które są pensjonarkami zakładu, pobierając naukę buchalterji, rysunku, oraz tych robót ręcznych, w których chcą się kształcić, mając przytem zapewnioną konwersacyę w obcych językach, płacą 18 rs. miesięcznie. Uczennice przychodnie nie płacą, jak w początkach, miesięcznie, ale za zupełne wyuczenie się swego przedmiotu składają opłatę rs. 15. Pięć rubli wnoszą sposobem wpisu, dziesięć po miesiącu nauki, gdy doświadczenie obustronne wykaże, czy uczennica chce i może korzystać z nauki. Sądzić trzeba przecież, że opłata miesięczna byłaby stosowniejszą, bo ła-

twiejszą dla uczennic niezamożnych, dla których 15 rs. jest nieraz kapitałem trudnym do osiągnięcia.

W zeszłym roku 10 tylko uczennic nie dotrwało w rozpoczętej nauce; obecnie zakład liczy uczennic 69.

Do uwag, jakie przychodzą na myśl bez naocznego widzenia zakładu i z danych tylko, które nastrożają korespondency, należy zakładowi uznanie, że nie pominął nauki rysunku, który kształcąc zmysł estetyczny uczennic, koniecznie oddziaływać musi na podniesienie ich smaku, więc tem samem wyroby ich gustowniejszymi uczyni. Szczególniej dla osób uczących się kwaciarstwa, nauka rysunku jest niezbędną, a nawet dodaćby tu trzeba malarstwa, bo wtedy tajemnica kolorytu staje się dla kwaciarki przystępną, co czyni z niej pracownicę poprawną. Pismo nasze obszernie już wykazywało, dlaczego paryżkie kwiaty mają niezaprzeczone pierwszeństwo nad wyrobami takimi krajów innych. Paryżanka ma ułatwioną naukę rysunku i korzysta z niej w liczbie bardzo znacznej, to też w ogóle przemysł kobiet francuskich wybitnie piętno tego na sobie nosi. Francuzka ma niewątpliwie gust wrodzony, ale przymiot ten — wielkiego w robotnicy kwiatów znaczenia — kobieta nasza podziela z nią w zupełności, tylko Paryż przez swoje zasoby artystyczne i pomoce naukowe, przystępne dla kobiet klas niezamożnych, smak naturalny jeszcze wykształca i wyższym czyni. Nawet już robotnice strojów kształcą go sobie w galerjach i muzeach, i właśnie niedawno jedno z pism niemieckich, dając kobiecie swego narodu rady, jak ma zwyciężyć wrodzoną nieudolność estetyczną, zwróciło się po przykład do Francji, opisując praktykowany tam sposób postępowania w wyższych zakładach strojów. Gdy która z robotnic odznaczy się dobrym smakiem i zmysłem pewnej oryginalnej twórczości, na co niezmiernie baczna uwagę zwraca zarząd pracowni, zaraz między nią a właścicielem staje pewna ugoda na warunkach szczególnych; robotnica zostaje wysyłaną na zwiedzanie galerji obrazów i posągów, gdzie dokonują sobie kopii kostiumów i strojów głowy lub innych ozdób, a owocem tych studyj są pomysły do stosowania w przemyśle mody. Dlatego też nazwy mód paryżskich są najczęściej historyczne i często spotyka się tam z wyrażeniem: styl tej epoki, tego panowania.... Razi to nas jak przesadna pretensja rzeczy małej, która się sposobem brzmiacej reklamy ku wielkiemu wspina, ale robotnica paryżka ma poniekąd słusność za sobą, gdy tak wyroby swoje mianuje, bo noszą one ślad pewnego artystycznego kierunku, który też gust ich podnosi, zapewnia im zbyt na targach mody całego świata. Robotnice nasze w tym wydziale pracy podobnie postępować powinny, powinny estetycznie smak swój kształcić, jeżeli chcemy stanąć do konkurencyi z przemysłem francuskim, choćby tylko w zakresie naszego kraju i potrzeb jego miejscowych, coby już ważną rubrykę ekonomiczną stanowiło mogło.

Wyrób kwiatów krajowych wzmaga się u nas, nie do tego jednak stopnia jakby mógł, bo w tym kierunku pracy przemysł nasz mógłby mieć otwarte pole zbytu zagranicę, więc zarobku bogacącego nie tylko jednostki. Prócz pracowni kwiatów p. Szymkiewicz, która w niczem nie ustępuje wyrobom paryżskich kwiatów, mamy bardzo piękne wyroby z pracowni p. Słupskiej, p. Karskiej pochodzące, a istnieje wiele pracowni nie tyle znanych, które zaopatrują potrzeby mniej wykwintnych a oszczędniejszych osób. Gdyby w tym kierunku pracy kobiecej ktoś usiłowania pojedyncze ześrodkował, gdyby szczególnie kobiety nasze założyły protest przeciw magazynom bogatszym, kwiaty z zagranicy bez potrzeby sprowadzającym, gdyby to nie było chlubą i przyczyną do podniesienia ceny stroju jakiegobądź, że zdobiący go kwiat jest paryżkim, ale przeciwnie, gdyby konsumentki żądały wyrobu krajowego, dział ten przemysłu zmógłby się wkrótce bardzo i stałby się ważnym przyczynkiem dla miejscowego rozwiązania kwestyi pracy kobiecej. Praca ta przedstawia najważniejszą trudność, gdy jej trzeba dostarczyć kobietom wyższych już klas społeczeństwa, których nawyknięcia są delikatniejsze a siły fizyczne mniej wyrobione. Otóż wyrób kwiatów, gdzie przemysł graniczy z artyzmem, mógłby właśnie na dział ich przypadać, a jedną jeszcze i bardzo ważną jego zaletą jest to, że robotnica może pracować w domu, jeżeli tylko jest w możności zaopatrzenia się w narzędzia potrzebne. Materiały przecież musiałyby

być zawsze dostarczane przez zakład, gdyż nabytek tych powinien być masowo dokonywany, aby wyrób nie był kosztownym nad miarę, a zarazem dokonywał się z tych ulepszonych materiałów, które umyślnie już dla wyrobu kwiatów w fabrykach są przygotowywane. I warszawska *Współka połączona pracy kobiet* ogłasza też między innymi naukę kwaciarstwa, com z pociechą przeczytała, gdyż wzmagając się w tym kierunku zastęp robotnic koniecznie nasz przemysł kwiatowy wzmocni, nim nas Niemcy swemi brzydkami, jaskrawo kolorowanymi kwiatami ubiegna w zbycie tychże do cesarstwa, na co już bardzo zanosić się zaczyna, bo tam fabrykacja masowa, prowadzona jako obrachowane przedsiębiorstwo, na tańszych warunkach zbytu poprzestać będzie mogła i drogę handlową sobie wyrobi. Dobrze jest przysłówie łacińskie „festina lente” spieszyć się powoli... ale jest i drugie: tardi venitibus ossa... to jest, że kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

Obecnie najważniejszym brakiem kwaciarstwa naszego jest nieumiejętność w wyrobie tak liści, jak w ogóle zieleni, wśród której kwiat się znajduje, i nawet do kwiatów naszego wyrobu dodają się liście zagraniczne. Musi tkwić w wyrobie ich trudność pewna, gdyż to samo czynią niemieckie kwaciarnie, to samo powtarza się w Anglii: kwiaty wyrobione w Londynie dostają liście i trawki paryżkiego pochodzenia. Zakłady połączonej pracy kobiecej, którym przewodniczy już pewna myśl wyższa, dobro ogółu na celu mająca, powinnyby brakowi temu zaradzić i przemysł kwiatowy pełniejszym przez to uczynić. Przy dzisiejszej ułatwionej komunikacji, czyżby się nie znalazła osoba chcąca i przez stan funduszy mogąca dostać się do źródła dobrej nauki, a któraby następnie, jako nauczycielka tak zdobyty kunszt swój rozpowszechniła? Trzeba tylko, aby miała zapewniony zwrot wyłożonego w ten sposób kapitału, przez odpowiednie lekcje swych wynagrodzenie. Właśnie Gazeta Polska pod datą 17 stycznia doniosła, że wiele rąk polskich rzuciło się w Paryżu do fabrykacji kwiatów, a zmarły tamże w d. 29 grudnia Artur Laskowski, zajmował się ich handlem. Przypuszczalnie zakład nie upadł ze śmiercią właściciela, więc jest oto gotowe miejsce ułatwionej nauki, gdzie chcąc jej osoba zapewneby spotkała sympatyczne przyjęcie i szczerze udzielane wskazówki.

Jakkolwiek odbicie od przedmiotu, to jest od zakładu *Połączonej pracy kobiet* we Włocławsku, jest dość długim, jeszcze jedną uwagą dłuższem je uczynię—poniewieramy niepatrytycznie produkcję krajową, nie szanujemy jej, sprawiedliwości jej nie oddajemy. Przyczyna tego jest może moralna i głębo-ko w innych wadach naszych tkwiąca, może pochodzi z buty i fantazyi pańskiej, z tej pychy że co mamy jest drogością z daleka sprowadzoną, więc nie dla byle kogo przystępną, ale większość naszej publiczności nie patrząc na wewnętrzną rzecz wartość, nie znając się nawet na niej, chwytając się chętniej rzeczy obcych, wtedy nawet, gdy niemieckich, więc stanowiąc li chych i od naszego wyrobu gorszych. Schlebając zatem naszej próżności i zagranicomani, kupcy nasi dopuszczają się fałszu i towar miejscowy za zagraniczny nam sprzedają, co już jest dla mnie rzeczą pewną pod względem kwiatów. Wiem najdokładniej że jeden z najpierwszorzedniejszych, najdroższych naszych magazynów, bierze kwiaty z kwaciarni warszawskiej, za co niech mu Bóg płaci, ale to jest krzywdą krajowi, że się właściciel od tego nie przyznaje przed elegantkami, których balowe suknie niemi stroi. Dając kilkanaście a nawet kilkadziesiąt rs. za jeden przystroik taki (nie ma niedokładności w cyfrze) byt-nica owa miałaby przynajmniej nieobciążone myślą o grzechu zubożenia o tyle kraju na korzyść zagranicy. Ale zostawiając na boku sumienie elegantek, które nie bywają na grzech przeciw krajowi czułe, dodać mi trzeba, że rzecz podobna, szacunkowi dla krajowej produkcji szkodząca, szkodzi zarazem i polotowi przemysłu krajowego, nie ośmiela, nie zachęca do pracy na jego niwie.

Wracając na koniec do Włocławskiego Zakładu *połączonej pracy kobiet* uważać mu to trzeba za szczególny bardzo nabytek, że lekcje rysunku daje tam p. Buszard, jeden z najinteligentniejszych naszych artystów; niegdyś współpracownik Biblioteki Warszawskiej i Bluszcza. To co kiedyś (1865 r.) pisał w Bluszczu o artystycznym wykształceniu kobiety, dowodzi, że tak poglądy jego na sztukę są niepowierzchowne, jak niepowierzchownem również jest jego

pojęcie o tem, czem sztuka może i powinna być w życiu kobiety. Chwytanie przez kobietę nowożytną błyskotliwiej tylko strony sztuki, pod postacią tak zwanych talentów, chwytanie takie, które nie na ducha posiadającej nie wpływa, nie wyrabia go, nie podnosi, do używania wyższych rozkoszy artystycznych nie uzdalnia, określił on tam wtedy w niezmiernie trafnem porównaniu, że artyzm taki jest wypolerowaniem powierzchni, która wtedy gładką się staje, blaski migotliwie odbija, ale bynajmniej światła w siebie nie bierze i głębi swej istoty świetlejszą nie czyni. Taki przewodnik zapewne potrafi na uczennice swe dobrze podzielać i jakkolwiek rysunek w zakładzie takiego rodzaju głównie do celów przemysłowych stosowanym być musi, przecież i duchowa strona przedmiotu pominięta tu nie zostanie, a kształcenie artystycznego smaku i na moralne kształcenie ducha wpływ swój stosowny wywrze. Można tu zarazem postawić życzenie, aby i sama przewodniczka zakładu podobnie edukacyjnego kierunku z oczu nie traciła, i jako dawna ochmistryni, która niegdyś oświecała umysły i serca młode, i teraz przy nauce pracy zarobkowej nie pomijała tego, co jest się najpierwszym dla każdej istoty ludzkiej zarobkiem—humanitarnego uczenia swych kształcenia. Są między jej pomocnicami w szkole dzisiejszej osoby, które dawniej pracowały także na polu pedagogicznym, więc połączenie tych dwóch rodzajów nauczania nie powinno być dla zakładu niemożliwym. Szczegół zamieszczony w sprawozdaniu, że zapewnią się uczniom konwersacya w językach obcych, każe się spodziewać, że życzenie i nadzieja moja nie jest próżnie powzięta, że pewne umysłowe oświecenie jest również uczniom udzielane. W każdym razie spodziewać się trzeba, że prowadzenie szkoły zakładu powinno być poddane pedagogicznie obmyślanemu planowi.

ROCH MUZYCZNY.

(Dokończenie).

Przechodzę z kolei do wspomnienia o ś. p. Moniuszce, skreślonego przez p. Aleksandra Walickiego. Broszurka ta nie wielkiego formatu, o 140 stronnicach, nie jest jeszcze kompletnym życiorysem—jak to sam jej autor w przedmowie powiada; jest to dopiero pierwszy ku temu materiał, zebrany z pomocą osobistych wspomnień i własnych po większej części notatek. Dziełko to napisane ze szczerem uczuciem, czyta się z przyjemnością—interes jego powiększa ta okoliczność, że p. Aleksander Walicki był osobistym przyjacielem zmarłego i mógł w Moniuszce poznać i ocenić, oprócz muzyka—także i zacnego człowieka i obywatela.

Tę krótką wzmiankę o książeczce pana W. możemy ograniczyć się mogli, gdyby pewien jej ustęp, obojętnie mnie się tyjący, nie potrzebował być rozjaśnionym pomiędzy mną i czytelnikami moimi. Przykro jest mówić o sobie, zwłaszcza tak długo, jak to dziś zmuszony będę uczynić; wszakże jest to koniecznem w obecnym razie—i dlatego, choćbym miał czytających mnie znudzić, proszę by sobie zadali nie miły trud przeczytania tego, co następuje.

Smutno jest zbłądzić i być za to potępionym—kto wie czy nie boleśniej jeszcze być oskarżonym najnieśluszniej. Oto fakta: Zaraz po śmierci nieodżałowanego mistrza naszego, umieściłem w Bluszczu krótkie wspomnienie o życiu i dziełach Jego. Jeden ustęp mego życiorysu stał się powodem do nader surowych względem mnie wyrażań ze strony autora dziś wspomnianej książki. Ustęp ten z mego artykułu tak brzmi: (patrz Nr 26 Bluszcza, 26 czerwca, 1872 r.)

„Robiono zarzut Moniuszce, że prozodya języka polskiego nie zawsze u niego właściwie jest zachowywana. Sędziwy Mirecki, autor *Noclegu w Apeninach*, w ostrej krytyce dziwił się, jak mogła publiczność zachwycić się tematem, w którym prawa prozodyi co chwila były gwałcone: „Dziewczyno moja!” Co szczególniejsza, to, że podobną prozodyę dość często spotykamy w dziełach Moniuszki, tyle często

przynajmniej, że może nie bez słuszności twierdzić można, iż postępował tak niekiedy naumyślnie, aby zbliżyć się do charakteru piosenek ludowych, które, jak wiadomo, nieraz taką samą mają prozodyę, jak wyżej przytoczony ustęp z Halki (wezmę ja żupan, wezmę ja kontusz, szabłą przypaszę). Tem bardziej mi się to wydaje podobnem do prawdy, wiedząc, że ś. p. Moniuszko był człowiekiem wykształconym i chętnie wyczytującym się w poetów, a zatem i prawa językowe studiującym uważnie. Ten sam kompozytor, który w niejednym miejscu zostawił ślady podobnie nie prawidłowego wymawiania, jak: dziewczyno moja, wesoły szczęśliwy i t. d.—jest właśnie tym samym, który z największym talentem zastosować umiał swoją melodyę nieraz do rymów żeńskich (— o —), tak pospolitych w naszym języku“ etc.

Pan Walicki na str. 64 swego dzieła mówi, że gdy ś. p. Moniuszko prosił kiedyś p. Jana Czeczotta, o przysłanie kilku pieśni w charakterze ludowym pisanych, tenże przy przesyłce w liście z 22 grudnia 1844 r. radził mu, żeby dokładnie poznać i zgłębił rytmiczność i miarowość języka. Moniuszko usłuchał tej rady „z wielkim zapalem wziął się do dzieł w tym przedmiocie Elsnera, a najbardziej Królikowskiego, i od owego to czasu stał się tak poprawnym i wzorowym pod tym względem kompozytorem.“

W tem miejscu zrobiony jest odsyłacz do str. 101, który tak brzmi:

„W tak ogromnej ilości kompozycji Moniuszki do śpiewu, zadziwiająca jest ta baczność jego w stosowaniu się do wymagań języka, i staranność o zachowanie jego czystości. W niektórych początkowych jego utworach, napisanych przed radą Czeczotta, można napotkać pod tym względem usterki. Kilka błędów takich można znaleźć w śpiewie: „czy powróci?“ (patrz 2-gi śpiewnik) i w kilku innych. Ale po tem tak był o to troskliwym, iż żadnemu zarzutowi nie podlegał. Pomimo to jednak ośmielono się (wprawdzie już po jego śmierci) zarzucać mu kalczenie rytmiczności języka. Oskarżycielem był biograf jego w Bluszczu (rok 1872, Nr 26) potępiający go za częste pod tym względem wykroczenia. Owego biograf przytoczył dwa tego przykłady, resztę zaś objął w trzech literach i t. p. Właśnie te trzy litery najbardziej są zajmujące, bo to co je poprzedza, żadnej nie ma wartości. Przytoczone dwa przykłady są: „Dziewczyno moja“ (Halka, akt IV. Dumka Jontka) i „Wesoły szczęśliwy“ (krakowiaczek „Trzeci śpiewnik“). Szkoda tylko zachodu na przytoczenie pierwszego przykładu, bo Moniuszko tam postąpił z rozmysłem, dla nadania temu miejscu barwy ludowej, gdyż lud nasz często w śpiewie tak z rytmem postępuje, czemu i biograf w „Bluszczu“ nie zaprzecza. Ale druga cytata, to już chyba na obmowę zakrawa, bo jest całkiem fałszywą. W miejscu przez biograf przytoczonem, nie ma wcale: „Wesoły szczęśliwy“, ale najwyraźniej: „Wesoł i szczęśliwy“. Całe więc poparcie zarzutu biografu musi się w trzech literach: „i t. p.“ zawierać. Lecz gdyby i tak było, to mimowolnie przychodzi na myśl słowa Buckla o Monteskiuszu: „Nie można zaiste zaprzeczyć niezmierniej zasługi temu drugiemu dziełu Monteskiusza, ani też nie zdołają jej umniejszyć owe napaści lilipuckich krytyków, którym się zdaje, że jeżeli wykryją przypadkowe omyłki wielkiego człowieka, to zdołali go już ściągnąć na poziom swej własnej nicości.“

Można łatwo pojąć, jak ten ustęp mnie zasmucił, powiem szczerze, oburzył nawet—a najbardziej zadziwił. Pomijając już ton szczerki i niestosowny (co zresztą sam autor później przyznał, jak to zaraz obaczymy), ale już sam zarzut zupełnie z piasku jest ukrecony. Wszak w moim artykule pisałem zupełnie to samo co i pan Walicki a propos Halki dodaje, że Moniuszko, jeżeli niekiedy odstępował od prawidłowej prozodyi czynił to zapewne naumyślnie, dla zbliżenia się do charakteru piosenek ludowych, i ani na chwilę nie myślałem robić z tego zarzutu Moniuszce, nie śmiałem nawet tych naruszeń prozodyi nazwać błędami i usterkami, jak to pan W. uczynił. Gdy więc jednego z panem W. byliśmy zdania, gdy nawet moje było o wiele łagodniejsze, za cóż zgromiony zostałem? Dziś jeszcze o to pytam: bo jakkolwiek pan W., gdy mu jeden ze znakomitszych naszych muzy-

ków, uproszony przezemnie, przedstawił mi krzywdę, — napisał do mnie list z wynurzeniem żalu za swą porywczosć, wszakże i w tym liście jeszcze mię winnym czyni.

Winnym jestem, i to przyznaję, bo w cytacie krakowiczka Moniuszki, zamiast „Wesoły i szczęśliwy“ przez pomyłkę napisałem: „Wesoły szczęśliwy“. Ale ta cytata nawet rzeczy nie zmienia, bo oryginalność akcentu nie leży w wyrazie *wesoły*, ale właśnie w wyrazie *szczęśliwy* (takt 2), gdzie akcent *mocny* pada na zgłoskę *slabą* (śliwy) i ten akcent w całej kompozycji zachowanym jest. Oprócz tej, żadna inna nie ciąży na mnie wina — mógłbym i dziś z łatwością przytoczyć, gdzie, oprócz wymienionych powyżej ustępów — w dziełach Moniuszki prozody jest nie prawidłowa — ale mi oto wcale nie chodzi, dziś jeszcze bardziej niż wówczas przekonany jestem, że w naszym języku czasami takie drobne odstępstwa od gramatycznej prozody są usprawiedliwione podobieństwem do charakteru pieśni ludowej. Sądę przez to, że już bez żadnych dłuższych komentarzy, przytoczyć mogę list pisany do mnie przez pana Walickiego, a który na wyraźne żądanie jego autora, bez żadnych skrótów i opuszczeń załączam.

d. 5 grudnia 1873 r.

Szanowny Pani!

Dowiedziawszy się od wiadomej Mu osoby o słusznej poniekąd urazie, jaką masz Pan do mnie, pośpieszam z objaśnieniem rzeczy całej, ażeby nie podlegać zarzutom niesprawiedliwym, w słusznych zaś przyznać się do winy.

W broszurce niedawno przezemnie wydanej p. t. „Stanisław Moniuszko“, na str. 101, wspominałem o zarzucie niesłusznym, uczynionym przez Pana w 26 numerze „Bluszcza“ 1872 roku, jakoby Moniuszko w śpiewach swych często przeciw rytmiczności wykraczał.

Cośmy obaj o tem napisali, tego tu powtarzać nie potrzebuję. Upoważniona zaś przez Pana osoba powiedziała mi, iż Pan twierdzi, że w swym artykule w „Bluszczu“ broniłeś tylko Moniuszkę od zarzutów Mireckiego, bynajmniej nań nie powstając.

Wiem o tem że w swoim czasie Mirecki napadał na Moniuszkę za „Dziewczynę moją“ w „Halce“ i w broszurce mojej wyraźnie mówię, że Pan „nie zaprzeczasz“ słuszności w tym razie Moniuszce.

Główną winą moją jest ton zbyt szorstki, zgryźliwy, a więc niewłaściwy, w jakim tę sprawę podniosłem. Zkąd się ten ton znalazł, natychmiast Panu objaśnię, chociaż wiem że żadne objaśnienie od zarzutu użycia go mię nie oczyści.

Kopiąc się i gmerząc przez rok blisko w ogromnym zbiorze notatek, listów poufnych i rozmaitych papierów pozostałych po Moniuszce, a nadto przypominając i uprzytomniając sobie wszystkie niegdyś prowadzone z nieboszczykiem rozmowy, byłem w ciągłym rozdrażnieniu i oburzeniu na te wszystkie niesprawiedliwe pociski, napaście, intrygi, knowania i szkalowania, które z tak stoickim spokojem znosił, tylko pogardliwym milczeniem na nie odpowiadając. Możem nie miał słuszności na to wszystko się oburzając, bo powinienem był pamiętać, że im wyższe stanowisko się zajmuje, tem bardziej na pociski się naraża. Ale w tym razie trudno mi było zdobyć się na chłodną, rozsądną, a beznamiętną bezstronność. Związki ścisłej przyjaźni, i uwielbienie dla wielkiego człowieka i artysty były we mnie zbyt silne, żeby je zdrowa a chłodna logika mogła pohamować lub zagłuszyć. W rękopiśmie moim było więcej podobnie gwałtownych wystąpień. Lecz niektóre z nich sam po rozmyśle usunąłem, zmieczyłem lub zmodyfikowałem. Nieszczęśliwym trafem ustęp o rytmiczności w ich liczbie się nie znalazł, czego teraz bardzo żałuję.

Z tem wszystkiem jednak, jeżeli wina zbytcej gwałtowności ciąży na mnie (do czego ze skruchą się przyznaję), to nawzajem chciej i Pan część winy przyjąć na siebie.

Uzbroiło mię przeciwko Panu nie zacytowanie Mi-

reckiego, któregoś pan nawet obalił, lecz dodanie „Wesoły i szczęśliwy“, a najbardziej „i t. d.“ To „i t. d.“ położone po wymienieniu „Halki“ i „Krakowiczka“ wskazywało mi, że Pan wykroczenia przeciwko rytmiczności przypisujesz Moniuszce i po napisaniu wymienionych utworów, kiedy według mego przekonania tylko przed radą Czeczota im podlegał (1). Że zaś „Wesoły i szczęśliwy“ jest cytata fałszywą, o tem Pan łatwo z trzeciego Śpiewnika przekonać się może.

Obecnie wierzę, że błąd ten wcisnął się do artykułu Pańskiego tylko przypadkiem, lecz wtedy podejrzewałem Go o złą wolę, równie jak Pan mię o nią posądziłeś za moję napaść gwałtowną.

Gdy więc ja żałuję mego postępków i szczerze zań Pana przepraszam, cofając zupełnie podejrzenie Pana o złą wolę, to zechciej i Pan ze swej strony nie posądzać mię o nią, i przebaczyć mi zbytnią krewkość. Obaj, chociaż nierówno, winni jesteśmy, — miejmyż obaj pobłażanie dla słabości ludzkiej natury.

Jeżeliby Pan uznał za potrzebne list ten mój publicznie ogłosić, to upoważniam Go do tego, *notabene in extenso*, co niniejszem bezwarunkowo sobie zastrzegam.

Pozostaję z należnym szacunkiem dla W. Pana —
najniższy sługa
Aleksander Walicki.

Pogrzebawszy już tę drażliwą kwestyą — dołączę jeszcze dwie drobne uwagi.

Na str. 112, wyliczając epoki wykonania publicznego kantaty Moniuszki: Nioła czyli Wundyny, nie wspomina pan W. o tem, że ona była wykonana na jednym z wielkich koncertów Tow. Muzycznego.

Na str. zaś 133 w wyliczeniu dzieł fortepianowych ś. p. Moniuszki, opuszczona jest jego *Elegia* (Es dur) wydana w Warszawie nakładem redakcyi gazety Muzycznej i Teatralnej, a grywana na koncertach przez Józefa Wieniawskiego.

Jan Kleczyński.

TRZY DNI W PUSTYNI

(Ułamek z wędrówek po Azji).

(Dalszy ciąg).

Pozostało mi jeszcze zwiedzić kilka budynków o taczających świątynię. Jedną z nich tylko był miejscem modlitwy. W owej niby kaplicy znalazłem *churdu* (koło modlitewne). Jest to wielki osmiokątny cylinder, napełniony milionem czy też więcej modlitewek buddajskich; cylinder z cieniutkich deszczulek, zewnątrz ozdobiony wizerunkami bóstw i różnych potworów, swobodnie wiruje na osi pionowo stojącej. Przy każdym obrocie koła dzwonek umieszczony u sufitu wydaje dźwięk, tak że każdy pobożny, obracający cylinder, może liczyć ile razy modlitwy, zawarte w owym „churdu“, przejdą do kraju, gdzie Budda przebywa. Wedle bowiem pojęć lamaizmu odmówienie modlitwy, czy też obrócenie koła, w którym są kartki z modlitewkami, uważa się za jednoznaczny akt religijny. Pobożni im więcej razy obróć koło, tem większą mają zasługę. Nieustannie przeto spotyka się mnóstwo pobożnych ciśniejących się do „churdu“, kto dotknie się do koła i raz je tylko obróci — a wprawia się ono w ruch bardzo lekko — zdobywa zasługę odprawienia wszystkich modlitw złożonych w olbrzymim cylindrze.

(1) Nie wiem w czem moje: „i t. d.“ ma być bardziej grzeszne od określnika: „i w kilku innych“ który w wyżej przytoczonym przypisku Pana W. się znajduje?

Szerokie niekiedy opowiadają Europejczycy lub osadnicy Azji o wyzyskiwaniu przez lamów dobroduszości i dewocyi wyznawców Buddy. Prawią o lamach, że za każde obrócenie cylindra z modlitwami pobierają zapłatę od swych prozelitów. Podczas mego dwudniowego pobytu w lamaseryi przesunęły się przez próg jej obejścia mnogie gromady pątników a wszakże ani razu nie spostrzegłem by wyzyskiwania pobożnych. Każdy kto chciał przychodzić do przybytku, bił czołem przed posagami bóstw, dotykał się rękoma złożonemi do kół modlitewnych, wprawiał je w ruch. Całemi milionami przeto supliki podróży posyłało do sfer nieziemskich Buddy i za tyle darów lamaizmu, za tak obfite źródło pociech, spływających na pobożnych krajowców, nie nie płacono. Świątynia przyjmowała dary: nie odrzucała ani opastych baranów, ani licznych pęcherzy masła, ani srebrnej monety rzucanej niekiedy dość hojnie na miseczkę stojącą w celi lamów, ale nie domagano się owej daniny, nie stawiano jej za warunek konieczny.

Poganizm buddajski z jego hierarchia, nie są bez zarzutu; wszakże niepodobna im odmówić znaczenia cywilizacyjnego, niepodobna nie widzieć, że gdzie kult Szagiamuniego wyparł szamanizm, tam zachowały się dawne plemienne cechy buryackie, tam krajowcy więcej są sobą, i pełni poczucia swej odrębności długie lata będą jeszcze zdolni stawić czoło obcym wpływom, obcemu obyczajowi. I rzeczywiście, gdzie nie zakwitnął obcy obyczaj na pustyni, tam uczciwość, sumiennosc w wypełnianiu zobowiązań, nie jest rzadkiem zjawiskiem, podczas gdy kultura obdarzyła autochtonów plewami tylko cywilizacyi, gdyż dodatnia jej strona dotąd dla nich niedostępna.

Zwiedziwszy kaplicę z kołem modlitewnym udałem się do budynku, w których się przechowują utensylia obrzędowe świątyni. Rydwan jaskrawemi kolorami malowany zwrócił przedewszystkiem moją uwagę. Przypomina on nieco misternie urządzone katafalk osadzony na kołach. U szczytu podnosi się baldachim, pod którym umieszczają posąg Majdery, w czasie jej dorocznej uroczystości w lipcu, gdy rydwan ciągnięty przez lamów processjonalnie obwozi się po trzykroć w około obejścia lamaseryi, przy licznej frekwencyi niemniej pogan jak i chrześcijan.

(Dokończenie nastąpi).

OD WYDAWCY.

Dla osób prenumerujących *Bluszcza* z dodatkiem dzieł J. I. Kraszewskiego, do numeru pierwszego *Bluszcza* r. b. dołączony był tom XLIX ogólnego zbioru, zawierający *Złote jabłko* tom 4-ty; a do numeru trzeciego dołącza się tom 1-szy *Żacy krakowscy*.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*“ dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tyt.: *Middlemarch*, przez *Jerzego Eliot*; oraz *Kamienna Wola*.

PREŚĆ Kobieta jako towarzyska życia mężczyzny, (dalszy ciąg). — Brylanty, (poezya), przez M. Ilnicką. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet. — Ruch muzyczny, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego. — Trzy dni w pustyni (dalszy ciąg).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 7 (19) Января 1874 г.